Kurier literacko naukowy

ROK IV. WYCHODZI W NIEDZIELĘ JAKO BEZPŁATNY DODATEK NR. 27

Ignacy Krasicki w Lwim Grodzie

W związku z odbytym niedawno we Lwowie zjazdem naukowym imienia Ignacego Krasickiego, nie od rzeczy będzie przypomnieć nieznany bibliografom tego poety epizod z czasu jego prezydentury w Trybunale małopolskim, mianowicie napad, który go spotkał w czasie urzędowania na gruncie lwowskim w drugiej połowie września 1765 roku, a którego epilog odegrał się przed lwowską kadencją małopolskiego Trybunału[1]).

Prezydent był przedmiotem napadu w drodze powrotnej z Rozdołu, dokąd jeździł często dla wytchnienia w dni wolne od zajęć sądowych, razem z marszałkiem Trybunału, a swoim ciotecznym bratem Ignacym Cetnerem, wojewodą bełzkim. Zajście to miało miejsce we czwartek 19, lub we środę 18 września 1765 roku. Sprawcą zajścia był pewien zamożny szlachcic o dość burzliwej przeszłości, nazwiskiem Antoni Marszycki, przybyły z okolic Grzymałowa (w dzisiejszym powiecie skałackim), który trudniąc się handlem bydła, zakupił partję 120 sztuk jałowic i sprzedawszy je na targu w Wielkopolsce, na czem zrobił dobry interes, w drodze powrotnej do Grzymałowa, zatrzymał się we Lwowie, gdzie zgodził do służby ubogiego szlachcica nazwiskiem Jana Markowskiego. W czasie nieodzownej w takim wypadku libacji w gospodzie przyłączył się do nich jako trzeci przygodny towarzysz do wypitki niejaki Jacek Czajkowski. Po obfitej libacji wyszli z gospody wszyscy razem we trójkę, a ponieważ Marszycki przebrawszy miarę w piciu, nie mógł się utrzymać o własnych siłach na nogach, przeto obaj jego współtowarzysze prowadzili go, podtrzymując w drodze do domu. Mimo to jednak przed domem chorążego nadwornego Mniszka upadł do ścieku przydrożnego, zupełnie zamroczony. Obaj jego współtowarzysze, pospieszyli mu z pomocą i podjęli usiłowania, by go podnieść. W tym właśnie momencie nadjechał w to miejsce karetą pocztową wracający z Rozdołu ówczesny prezydent trybunału małopolskiego, a kustosz kapituły archikatedralnej lwowskiej, ksiądz Ignacy Krasicki. Bezpośrednie spotkanie z grupą pijanych kompanjonów koło pałacu Mniszka było nieuniknione. Podniesiony ze ziemi Marszycki zastąpił drogę pojazdowi prezydenta z dobytą szablą i zatrzymawszy konie u karety przeszkodził pocztyljonowi w dalszej jeździe. Wtedy dworzanin prezydenta, siedzący z tyłu powozu, widząc przeszkodę w dalszej podróży, zbliżył się do Marszyckiego, tłumacząc mu, kogo wstrzymuje w drodze. Następnie towarzyszący prezydentowi niejaki Bratkowski, oraz sam prezydent, zaczęli napastnikowi perswadować łagodnie, aby nie czynił przeszkód w podróży, jednakże bezskutecznie. Marszycki bowiem na to wszystko obrzucił prezydenta obelżywemi słowami.

W tym momencie wystąpił czynnie także Czajkowski i posunął swą brutalną napaść do tego, że, przystąpiwszy do karety, czynnie znieważył prezydenta, uderzywszy go dwukrotnie w pierś pięścią.

Na tem skończyło się zajście z prezydentem, odjechał on ze swoim orszakiem spokojnie na swoją kwaterę w mieście.

Naruszona godność prezydenta trybunału, tej najwyższej władzy sądowej oraz zakłócony przez gwałt na drodze publicznej porządek, domagały się zadośćuczynienia. To też na skutek odpowiedniego doniesienia, specjalna załoga wojskowa, dodana Trybunałowi, jako zbrojna asystencja do utrzymania porządku i bezpieczeństwa, przystąpiła do likwidacji zajścia. Wysłano patrol dla poskromienia awanturników. Marszycki przy pomocy Markowskiego, swego nowozaangażowanego oficjalisty, który w zajściu z prezydentem nie brał żadnego czynnego udziału, stawili obecnie opór zbrojny, broniąc się przed ujęciem dobytemi szablami. Zostali jednakże ubezwładnieni po niedługiej obronie, i osadzeni w areszcie. Natomiast drugi współtowarzysz Marszyckiego Czajkowski, widząc beznadziejne położenie, oraz mając na sumieniu bezpośredni gwałt na osobie prezydenta, porzucił swoich przygodnych towarzyszy i ukrył się w sąsiednim domu Mniszka, gdzie go jednak odnaleziono i również uwięziono. W ten sposób wszyscy trzej współtowarzysze libacji i sprawcy zajścia ulicznego podzielili wspólny los, oczekując w areszcie wymiaru karzącej sprawiedliwości.

W obronie porządku prawnego, naruszonego, wystąpił z oskarżeniem sądowem, łącznie przeciw wszystkim trzem winowajcom, instygator trybunalski. Przy pierwszem rozpatrywaniu tej sprawy dnia 20 września 1765 roku zarządził Trybunał przesłuchanie obwinionych celem uzyskania od nich dobrowolnego przyznania się do czynu a następnie przesłuchanie świadków wiarygodnych. Po upływie dni dziesięciu od jej podjęcia, znalazła się ta sprawa na wokandzie na posiedzeniu Trybunału 1 października 1765 roku. Właściwa rozprawa odbyła się jednak dopiero dnia następnego. Wszyscy trzej obwinieni odpowiadali na tej roz prawie jako uwięzieni, podobnie jak na wstępnem przesłuchaniu, co odnośnie Markowskiego i Czajkowskiego jako nieosiadłych było zupełnie normalnem zjawiskiem, a odnośnie Marszyckiego, jako osiadłego ziemianina było uzasadnione wyjątkowo tą okolicznością, że w danym wypadku spraw cy zostali schwytani na gorącym uczynku. Obwinieni przyznali się dobrowolnie do zarzucanego im gwałtu, bronili się tylko, twierdząc, że nie naumyślnie, ale przez nietrzeźwość, nie znając osoby prezydenta, dopuścili się gwałtu.

Na zasadzie wyników przewodu sądowego główny sprawca Marszycki uznany został winnym obrazy dostojnika o charakterze, świeckim i duchownym, w czem tkwiło zarazem naruszenie powagi samego Trybunału, oraz zakłócenie porządku publicznego. Za dopuszczenie się tych przewinień zasłużył Marszycki zdaniem Trybunału na najsurowszą karę kryminalną, utraty gardła. Jednakże Trybunał przy ocenie stopnia winy sprawcy przyjął jako okoliczność łagodzącą, że czynu swego dokonał w stanie opilstwa, co go pozbawiło pełnej świadomości, a zatem zmniejszyło odpowiedzialność za działanie, nie uchylając jej jednak zupełnie. Na skutek tego zastosowano w danym wypadku w drodze łaski znacznie łagodniejszy rodzaj kary mianowicie zamknięcia w dolnej wieży na przeciąg jednego roku i sześciu niedziel. Co do sposobu wykonania kary zastrzeżono, że sprawca ma karę tę odbywać w grodzie lwowskim i to nieprzerwanie, a odsiadywanie wieży ma zacząć natychmiast po wydaniu wyroku. Ponadto skazano Marszyckiego na karę majątkową w sumie 500 grzywien, przeznaczając je na cele dobroczynne.

Odnośnie do drugiego współsprawcy Markowskiego wziął Trybunał przy ocenianiu jego winy pod uwagę jako łagodzącą okoliczność, że działał jedynie jako pomocnik swego pana, został on skazany na karę chłosty w postaci stu pletni (batów), mających się mu wyliczyć natychmiast przez woźnego trybunalskiego publicznie na rynku lwowskim, dla odstraszenia innych od tego rodzaju postępków.

Co do trzeciego współsprawcy Czajkowskiego, który uderzył prezydenta w piersi, to jakkolwiek wedle przekonania Trybunału sprawca zasłużył na najsurowszą karę kryminalną tj. karę gardła, to jednak postanowił ukarać go znacznie łagodniej Skazano go na ucięcie prawej ręki. Znamiennem jest odnośne uzasadnienie tej kary, zmierza jącej do oddzielania świętokradzkiej ręki zarażonej zbrodniczym instynktem, od reszty ciała, aby je zabezpieczyć od gangreny moralnej, a więc mającej raczej cechy operacji moralnej i zabiegu leczniczego niż kary odwetowej. Wykonanie tej kary powierzono katowi publicznemu. Ponieważ instytucja ta istniała tylko przy sądach miejskich, przeto przekazano wykonanie tej części wyroku miejscowemu lwowskiemu sądowi miejskiemu.

Brak nam bezpośrednich dowodów stwierdzających czy powyższy wyrok przeciw wszystkim trzem współsprawcom faktycznie wykonany został. Wiadomo tylko, że główny sprawca zajścia, Marszycki, osiadły i zasobny w gotówkę ziemianin, faktycznie karę dolnej wieży na zamku lwowskim odsiadywać rozpoczął, ale wkrótce wniósł prośbę o darowanie dalszej kary w drodze łaski. Skoro zatem wykonano wyrok przeciw możnemu ziemianinowi Marszyckiemu, to prawdopodbieństwo przemawia za tem, że i jego dwaj współtowarzysze, nie uniknęli ramienia sprawiedliwości, tembardziej, że niema śladów darowania im kary. Natomiast Marszyckiemu darował Trybunał na skutek wspomnianej prośby, resztę kary, polecając go wypuścić na wolność po 8 względnie 10 tygodniowem zamknięciu.

Dr. Bolesław Grużewski

[1]) *Por. Księga Pam. na cześć prof. Dąbkowskiego, Lwów 1927, str. 295—314.*

Zmierzch „drapaczy chmur"

Równo przed pięćdziesięciu laty stanął w Chicago pierwszy „drapacz chmur". Był to gmach **„Home Insurance Building"**, wysoki na... dziesięć pięter.

Od tego czasu rozpoczął się prawdziwy wyścig w górę: wyrastały gmachy na 20, 30, 40 i więcej pięter, tak charakterystyczne dla dzisiejszej panoramy Nowego Yorku.

Wystawione ostatnio drapacze chmur **„Empire State Building"** i **„Radio City"** Rockefellera zamykają poniekąd całą tę epokę, — i to, zdaje się, na czas dłuższy. Kryzys światowy i na tem polu dał się dotkliwie we znaki. Jak wykazuje najświeższa statystyka, blisko 30% lokali w tych gmachach stoi pustką, mimo znacznego obniżenia czynszów.

Nie można zatem liczyć na zamortyzowanie bardzo wysokich kosztów tych budynków.

Czy, z chwilą polepszenia się sytuacji gospodarczej, zaczną ponownie wyrastać olbrzymie drapacze? Bardzo to prawdopodobne, ale metoda ich konstrukcji ulegnie radykalnej zmianie.

Zdaniem D. A. Barnhama, dyrektora technicznego wystawy w Chicago, koszty budowy, dzięki zastosowaniu rozmaitych ulepszeń, zredukują się do połowy, co pozwoli na odpowiednie obniżenie wysokości czynszów.

Drapacz chmur, zbudowany kompletnie w ciągu 180 dni, powinien się zamortyzować w ciągu 20 lat — i na tyle też obliczone będzie jego życie.

Ściany, nazewnątrz emaljowane i zaopatrzone w doskonałą izolację, będą mieć zaledwie 10 ctm. grubości.

Szkło i stal, to jedyne materjały przewidziane w konstrukcji.

Współczesna twórczość literacka Śląska

Starsze pokolenie

W czasach niewoli Ślązak musiał skoncentrować swe siły dla obrony swych największych dóbr: języka i narodowości. Literatura śląska XIX i XX w do Morcinka — to literatura patrjotyczno-dydaktyczna. Wymagały tego warunki polityczne.

Owi Lompowie, Damrothowie, Bonczkowie, Ligoniowie, Jaroniowie spełnili swą misję pisarską ku pełnemu zadowoleniu i pożytkowi duchowemu swych braci. Ich działalność stanowi ważne ogniwo w pracy nad odrodzeniem narodowem Śląska.

Kontynuatorem tej poezji patrjotyczno-narodowej na Śląsku Cieszyńskim był i jest Emanuel Grim. Reprezentuje on w spółczesnej literaturze śląskiej nieustannie czujne sumienie narodowe. W swych utworach — czy to będzie poemat historyczny „Wanda", czy „Jasełka Śląskie", czy „Kwiat Paproci", czy „Dwa Orły Śląskie" — zwraca się poeta do Polaków zarówno w Opolskiem i Karwińskiem, jak i do Polaków w przyłączonych do Polski częściach Śląska.

Twórczość początkowa ks. Grima wyrosła z tęsknoty i żalu nad utraconą ojcowizną i tu wznosi się autor na dość wysoki poziom artystyczny, zdobywa się na szczery i głęboki liryzm, gładki i potoczysty w formie. W dalszej twórczości akcent bólu zatraca się, by ustąpić miejsca świadomości misji patrjotycznej, zrozumieniu, że nie skargi i jęki wyzwolą naszych braci za kordonem, ale nieustanna o nich pamięć, pomoc w słowie i czynie, postawa czynna, czujność nieustanna.

W miarę, jak twórczość poety nabiera znaczenia misji, siły przekonania, — myśl dojrzewa i krzepnie,, forma natomiast słabnie i ustępuje treści. Obniżenie formy artystycznej spowodowane jest nieodpowiednim rodzajem twórczości, jaki poeta obrał dla wyrazu swych natchnień. Forma dramatyczna, która miała torować autorowi drogę do szerokiej publiczności, jest obca odczuciu ks. Grima. Forma, w której się ks. Grim dobrze czuje i w której osiąga znaczne rezultaty, to — jak już zaznaczyłem — forma liryczna, a także epiczna. („Ondraszek", Baśnie Beskidzkie".) Nie można też pominąć milczeniem wartości regjonalistycznej twórczości poety isteb niańskiego.

Do starszej generacji pisarzy śląskich należy nowelista Walenty Krząszcz. Dorobek Krząszcza jest dość znaczny, obejmuje bowiem siedm powieści i cztery tomiki nowel. Nazwałem Krząszcza nowelistą — gdyż powieści jego — nieduże w rozmiarach są właściwie nieco szerzej pojętemi nowelami. Powieściom tym brak szerokiego oddechu, rozmachu epickiego. Nieraz wątek zasadniczy zatraca się gdzieś, by wypłynąć przy końcu w zbyt skondensowanej formie. Epizody drugorzędne stanowią niejednokrotnie nieproporcjonalnie dużą część całego opowiadania, ze szkodą dla całości i artystycznej wartości utworu.

Te błędy konstrukcyjne łączą się z psychologją ludu, o którym i dla którego Krząszcz pisze. Autor podkreśla to, co się ludowi właśnie wydaje ważnem — a co czytelnik miejski zbyłby może pobłażliwym uśmiechem. Stąd ujmująca naiwność i prostota Krząszczowych opowiadań, stąd silne podkreślanie elementu fantastycznego, złośliwy nieraz i niezgodny z rzeczywistością obraz miasta, stąd częste opowiadania wprost od siebie lub o sobie, swych znajomych, krewnych i sąsiadach — ale to właśnie stwarza silną więź z ludem. Brak elementów politycznych, socjalnych, patrjotycznych, tak powszechnych w całej twórczości śląskiej, nadaje utworom Krząszcza wyraźniejsze oblicze twórczości czysto literackiej. Nie sięgając szczytów Parnasu, posiada twórczość Krząszcza cechy misji kulturalnej, a Krąszcz znaczenie poważnego i wartościowego pisarza ludowego.

Jak dla ks. Grima ,jego twórczości poetyckiej i działalności patrjotyczno-społecznej drogowskazem był Stalmach, tak dla ks. Skowrońskiego, poety górnośląskiego — Damroth. Twórczość poetycka niedawno zmarłego ks. Skowrońskiego, ujęta w jeden niewielki tomik, jest w całem tego słowa znaczeniu dokumentem historycznym. Odzwierciedlają się w wierszach ks. Skowrońskiego walki z pruskim naporem ku wynarodowieniu ludu polskiego, wybija się w nich ufność i niezłomna wiara w ostateczne zwycięstwo polskości. Współczesność, poza paroma wierszami religijnemi, nie znajduje swego odbicia w poezjach czcigodnego kapłana. Twórczość jego jest pomostem pomiędzy okresem przedwojennym a teraźniejszością.

Młodzi autorzy śląscy

Między pokoleniem starszem a młodszem jest przeskok dość duży Nic dziwnego. Współczesność musiała dojść do głosu. Młodsi pisarze zdawali sobie ponadto sprawę z tego, że twórczość czysto artystyczna pozbawiona być musi zbyt oczywistej tendencji, że twórczość śląska zainteresować się powinna specyficznemi cechami śląskiej ziemi i śląskiego człowieka. Należało Polsce pokazać „nieznany kraj". Na czoło więc tematów śląskich wysunął się górnik i jego praca. W tej dziedzinie pierwsze miejsce zajmuje Gustaw Morcinek.

Aby tem wyraziściej uwypuklić dokonane przez Morcinka dzieło, scharakteryzuję wpierw próby podobnej twórczości pisarzy mniej dojrzałych, pisarzy o których dziś jeszcze stosunkowo niewiele można powiedzieć. Najciekawiej prezentuje się Adolf Fierla, który swych sił twórczych próbował zarówno w prozie jak i poezji. Zbiór nowel „Hałdy" zawiera kilka dobrze podpatrzonych obrazków z życia codziennego rodzin górniczych, smutnego ich bytowania, ich niedoli częstszej od radości. Obrazki, choć nieco jednostronne, odznaczają się umiejętnością operowania efektami, znaczną prawdą życiową. Próby poetyckiego przedstawienia doli górniczej w „Cieniach i blaskach" oraz w „Kopalni Słonecznej" uważać musimy za raczej nieudane. Natomiast poezje beskidzkie p. t. „Dziwy na gróniach" — przejawiły rzetelny talent poetycki. W melodyjnych i bardzo śpiewnych wierszach wypowiedział Fierla swą miłość ziemi cieszyńskiej, sląskich gór i ich ludu. Fierla celuje w drobnych wierszach lirycznych, gdzie w niewielu słowach łączy subtelne odczucie przyrody z naiwną i serdeczną religijnością. Owa religijność stanowi szczególny urok tych wierszy, splata góry i Boga w jedną nierozłączną całość, sublimuje nieznacznie, bez patosu i zewnętrznego efekciarstwa prostotę wiary górala.

Jak o Fierli, tak i o Ludwiku Łakomym, autorze powieści p. t. „Na dziewiątej pochylni" jeszcze nic zdecydowanego powiedzieć nie można. Opowieść Łakomego wnosi niejeden nowy akcent do literatury górniczej, autor odznacza się dużym darem obserwacyjnym, wnikliwością psychologiczną, uchwycił trafnie prostą, szczerą i szorstką naturę górnika, ma duże wyczucie dramatyczności, umie być zwięzłym, odczuwa doskonale prostą duszę ludu, jego skromne pragnienia, naiwne marzenia. Do takiego artyzmu, jak w tem opowiadaniu, nie wzniósł się już autor później ani w fantastycznej powieści p. t. „Do Gwiazdy Betlejemskiej" — drukowanej w odcinku feljetonowym „Polonji", ani w „Obrazkach z powstań górnośląskich". Na tych dwuch utworach zemściła się gorączka pracy autora, przesadna ambicja, zbytnie rozdrabnianie się w rozmaitych rodzajach twórczości.

Wspomnieć należałoby jeszcze o wiele obiecującym poecie Pawle Kubiczku, wyróżnionym na konkursie poetyckim „Wiadomości Literackich". Trudno ocenić mi w pełni znaczenie Kubiczka-poety wobec tego, że jego utwory ukazywały się dotąd tylko po czasopismach i nie są jeszcze zebrane w tomik.

Całkowicie przestał pisać ciekawy pisarz Emanuel Imiela, którego bajki i satyry ,zwłaszcza polityczne, cieszyły się dużem wzięciem. Także Jan Jakób Kowalczyk, keórego Zbójnik-opiekun miał znaczne powodzenie u szerokich rzesz czytelników, poprzestał w dziedzinie beletrystyki na tej jednej próbie.

Jako zupełnie świeżą pozycję bibljograficzną mamy do zanotowania „Wesele Górnośląskie" w opracowaniu Stanisława Ligonia, zawierające syntezę życia obrzędowego Górnego Śląska.

Gustaw Morcinek

Wkroczył on do literatury mocno — iście po śląsku. Zadebiutował tomem nowel z życia górników i stał się odrazu kimś w literaturze. Już pierwsze nowele uwydatniły główne cechy talentu Morcinkowego, zalety, a także i wady: bystrą i pewną obserwację przy świetnej znajomości środowiska opisanego, rozmach epiczny, duże wyczucie dramatyczności, umiejętność posługiwania się efektami pisarskiemi, wielką sympatię witalną, przeradzającą się niejednokrotnie w przesłoneczniony optymizm. Nie mniej widocznem było, że Morcinek poszukuje dopiero własnego stylu. Zapatrzywszy się w Żeromskiego,ż trudno mu było wyzwolić się z pod wpływu ulubionego pisarza.

Twórczość Morcinka idzie w dwóch kierunkach. Jeden, to spełnienie testamentu Żeromskiego w odniesieniu do Śląska, drugi, to twórczość dla młodzieży Obie te dziedziny równą mają wagę równe znaczenie.

W nowelach („Serce za tamą", „Chleb na kamieniu"), a zwłaszcza w wielkiej swej epopei śląskiej (w „Wyrąbanym Chodniku") ukazał nam Morcinek rzecz nową: ów „nieznany kraj"; — ukazał go w takiej pełni, że pozwala czytelnikowi wniknąć głęboko w pokłady psychiczne i emocjonalne cudu odrodzenia ziemi, która zdawała się być skazaną na wynarodowienie, na zatratę dla świata słowiańskiego, zwłaszcza polskiego. Morcinek dał nam poznać świat jakby fantastycznej egzotyki, — a jednak ze wszystkiem najzupełniej realny: ów świat górników i hutników w walce o duszę swych dzieci. zabłąkanych współbraci, o język ojczysty, o prawa już nie obywatelskie, ale ludzkie, drwinmi, szykanami, gwałtem psychicz- o mizerny kawałek chleba, zaprawionym nym i fizycznym, zadawanym przez chlebodawców.

Staje przed nami Śląsk cały: i ten z pod Czecha, i ten z pod Prusaka, Ślązak przy pracy i zabawie, w życiu rodzinnem i polityczno-narodowem. Zrozumieliśmy, skąd Ślązak cezrpał swe siły: czerpał je z fanatycznego ukochania ziemi, języka ojczystego i pracy, z miłości Boga, Ojczyzny i Rodziny. Jeśli nawet będziemy mieć pewne zastrzeżenia co do strony artystycznej (pewne rozwlekłości, niedociągnięcia w kompozycji, prześletlenia życia,), to niepodobna nie przyznać, że dzieło Morcinka, pionierskie i nawskróś oryginalne, o wysokich walorach emocjonalnych i socjalnych, odsłania nam serce Śląska, a w dorobku literackim Polski jest pozycją nieprzemijającą.

W dziedzinie powieści dla młodzieży nie wielu mamy w Polsce pisarzy równych Morcinkowi. Wygląda to na grubą przesadę, ale nie jest nią, mojem zdaniem. Jakie kwalifikacje przynosi ze sobą Morcinek, jako pisarz dla młodzieży? Przedewszystkiem znajomość psychiki dziecka — przecież jest pedagogiem, pozostaje w stałym kontakcie z młodzieżą, zna więc jej upodobania i potrzeby, wie w jaki uderzyć ton i w jaką nutę. Zna potrzeby chwili. Mało powiedzieć — lubi, Morcinek kocha dzieci i co najważniejsze — jest przez nie kochany. Trzeba widzieć te stosy listów, jakie Morcinek dostaje od młodzieży, aby wiedzieć, jak młodzież ceni Morcinka, autora „Narodzin serca" i „Gwiazdy w Studni". W stosunku do młodzieży Morcinek przestaje być cukierkowym, jak nim czasem bywa w powieściach dla dorosłych. Zaznajamia ich z twardem życiem codziennem, z bólem i cierpieniem, jakie dzień powszedni niesie, uczy wytrwania i hartu, traktuje swych czytelników po dorosłemu, ma do nich zaufanie, prowadzi ich poprzez przygody do upatrzonego celu: „aby im z ludźmi było dobrze i ludziom z nimi". Pewne wyidealizowanie życia, to w powieści dla młodzieży nieodzowny warunek. Ale Morcinek nie przesadza w tym kierunku. Chciałoby się niemal stwierdzić, że Morcinek jako pisarz dla młodzieży, trzyma się w ostrzejszej dyscyplinie pisarskiej, niż wtedy gdy pisze dla dorosłych.

Do dotychczasowego całokształtu dzieła tego najwybitniejszego i właściwie jedynego poważnego pisarza śląskiego należy jeszcze monografja o Śląsku. Stanowi ona esencję jego myśli o Śląsku w formie opisowej, wyraźne podkreślenie, czem jest serce śląskie. Niech każdy sięga do źródeł — tam znajdzie odpowiedź. Warte trudu zapoznanie się z „nieznanym krajem" przy takim przewodniku, jakim jest Morcinek. Wtedy zrozumiałą się stanie wiara Ślązaków w specjalne ich przeznaczenie, ich dziwna, harda ale i wielka dusza, którą Zegadłowicz apoteozuje w „Pieśni o Śląsku".

Alfred Jesionowski.

Magja i czary

W jednym z porzednich nr. Dodatku Liter. - Naukowego, pojawił się artykuł pt. „Kabała", w którym autorka artykułu przedstawia swoje wrażenia, odniesione w czasie „wizyty" u wiejskiej kabałarki. Nawiązując do tego artykułu, pragnę w krótkim rysie przedstawić czytelnikom genezę sztuki czarodziejskiej, we wszystkich jej odmianach, a w szczególności dotyczącej wiary ludowej w czary.

Bezsprzecznie podłożem na którem wyrosła magja i jej pochodne, jak gusła, zabobony, kabała, czarodziejskie lecznictwo itp. — jest przyroda w całej swej przeogromnej krasie i potędze. Różnorodność zjawisk przyrodniczych, jakie człowiek obserwuje od początku swego istnienia na ziemi, była tym czynnikiem, który w wielkiej mierze przyczynił się do rozwoju magji. Człowiek pierwotny obserwując różnorodne zjawiska przyrody, a nieposiadający znajomości tychże, wytworzył w swoim umyśle najdziwaczniejsze pojęcia, tłumacząc przyczyny i skutki tych zjawisk. Tłumaczenie to, było z gruntu fałszywe, nie opierające się na logicznych podstawach, w czem utwierdza nas choćby cały szereg uczonych średniowiecza, zwłaszcza przyrodników, którzy błądząc w labiryncie ciemności, niejednokrotnie tłumaczyli różne zjawiska przyrody już nie fałszywie, a wręcz naiwnie, śmiesznie i wedle własnego widzimisię.

Obserwowanie i styczność z przyrodą, dały też asumpt do powstania pierwotnych religij, które ściśle zazębiały się o magję. Stąd wytworzyła się wiara w czynniki nadprzyrodzone, dobre i złe dla człowieka, stąd takim zjawiskom jak np. śmierć, choroby, susza, grad, powódź itp. nie przypisywano przyczyn i skutków przyrodzonych, lecz tłumaczono je, jako działanie złych duchów — częstokroć wywołane przez ludzi, którzy mieli z tymi duchami styczność.

Człowiekowi, który miał „styczność" z duchami, przypisywano wielką moc, mógł on bowiem nie tylko spowodować zło, ale mógł też je zażegnać przed niem uchronić. Nie trzeba dodawać, że ludźmi mającymi konszachty z duchami byli kapłani. Taki byłby mniej, więcej — ogólnikowo przedstawiony — początek nauk tajemnych, które w starożytności były przywilejem sekt kapłańskich, zaś w wiekach średnich, równocześnie z rozwojem nauk, wzrosły do maximum, i stały się popularne, powszechne i prawie każdemu śmiertelnikowi dostępne. Rozumie się, że w większości wypadków, — pomimo nieraz głębokiej wiary w nie, nawet samych mistrzów sztuki tajemnej — magje i czary służyły jako... niezły czynnik dochodowy, z którego mistrze sztuki tajemnej i kapłani czerpali ogromne zyski, bezlitośnie wyzyskując naiwnych i ciemnych ludzi.

Jak wspomniałem, — największy rozwój magji i czarów, przypada na wieki średnie. Dzieje się to dzięki współmiernej przyczynowości, jaka zachodzi między nauką i wiedzą — jako takimi, — a czarami i magją.

Ta współmierność, między nauką ścisłą, a czarami przyczyniła się do wzrostu autorytetu magji, wytworzyła bogatą literaturę o czarach, że wymienię dla przykładu takie choćby dzieła, jak: „Malleus maleficarum", część dzieła Henryka Lustitora i Jakóba Sprengera (przetłum. na polskie) z XVI wieku, „Thesaurus Magicus domesticus", wydane w Krakowie w 1637 roku i wiele in., zwłaszcza obcych, — oraz przyczyniła się z jednej strony do spopularyzowania i ugruntowania magji, w jej wszystkich przejawach, z drugiej zaś do zwalczania magji i czarów.

Czary starożytne, w których nauki ścisłe wkroczyły na właściwe drogi, z miejsca obaliły magję, zniżając ją do rzędu sztuczek szarlatańskich, z których mamy ten pożytek, że służą one jako przyczynek do badań dziejów ludzkości z ubiegłych wieków. W okresie największego nasilenia i rozpowszechnienia czarodziejstwa, a więc w wiekach średnich, musiały się odbić w życiu człowieka jakieś skutki zajmowania się czarodziejstwem. Skutki te były dwojakiego rodzaju. Z jednej strony uzależniły wielkie masy ludzi od czarnoksiężników, przyczyniały się do rozwoju złych instynktów, zacieśniały i mąciły jego rozwój duchowy, nie pozostawały bez wielkiego wpływu (w większości wypadków) na rozwój nauk, z drugiej strony — wywołały reakcję — jakby samoobrony, która zrodzona z magji, obróciła się przeciw czarodziejstwu, ściślej mówiąc przeciwko czarownicom i czarodziejom. I tu uderza pewien charakterystyczny rys, objawiający się w tem, że tak długo jak sztuka czarodziejska była przywilejem mężczyzn — kapłanów, tak długo nie było większych przeciwdziałań, chociaż np. już w księgach Mojżeszowych, znajdujemy groźne prawa przeciwko czarodziejom. Dopiero, gdy czarodziejstwem zaczęły bawić się kobiety, a więc w wiekach średnich, nastąpiła reakcja, w skutkach swych ohydna, bezlitosna i sroga, znakomicie oddająca mentalność życia średniowiecznego.

Pierwsze, na większą skalę zakrojone prześladowania czarownic, rozpoczęto w XIII wieku w Niemczech i Francji, następnie w dwa wieki później w Szwajcarji, a w Polsce dopiero w XVI wieku. Prześladowania czarownic, oparte o suchą literę prawa, były może najbardziej makabrycznym i wstrętnym tworem średniowiecznego człowieka.

Największe „żniwa" zbierały prześladowania czarownic w Niemczech, gdzie np. w djezecji wuerzburskiej i bamberskiej, spalono na stosie w okresie pięcioletnim — 1500 kobiet posądzonych o czary. Jak bezlitosnem i głupiem było ustawodawstwo średniowieczne, dowodzi to, że oskarżenie kogoś o czary, nie poparte na żadnych konkretnych faktach, wystarczyło do wytoczenia procesu, który zwykle doprowadzał do przyznania się oskarżonego do „djabelskich praktyk" — pod wpływem wymyślnych i okropnych tortur, — a kończył się śmiercią delikwenta (spaleniem na stosie, poćwiartowaniem ciała, utopieniem itp.),

Tu pragnę zwrócić uwagę na pewien małoznany szczegół, dobitnie świadczący o wielkiej kulturze narodu polskiego. Mianowicie — jak wspomniałem prześladowania czarownic w Polsce rozpoczęły się w XVI wieku, a więc trzy wieki później niż na zachodzie Europy, w Polsce też zostały najprędzej zniesione. Już w 1774 roku, August Sułkowski, wojewoda gnieźnieński potępiał karanie śmiercią osób podejrzanych o czary, zaś w dwa lata później — 1776 roku, na wniosek Wojciecha Kluszewskiego, kasztelana bieskiego, zapadła uchwała na sejmie, mocą której zabroniono dochodzenia winy osób podejrzanych o czary za pomocą tortur, oraz zniesiono karę śmierci „na czarowniku". Uchwałę tę upamiętniono wybiciem odpowiedniego medalu. A działo się to w czasach, kiedy na zachodzie Europy przez długi jeszcze czas potem prześladowanie czarownic, czyniło wielkie spustoszenia wśród ludzi Bogu ducha winnych.



Rzym, Pomnik Wiktora Emanuela

To — co w krótkim rysie przedstawiłem, złożyło się na rozwój sztuk czarodziejskich, doprowadzając w końcu do tego, że zabobon i czary silnie zakorzeniły się w życiu ludzkiem, zwłaszcza wśród ludu wiejskiego. I chociaż mroki średniowiecza rozdarte zostały światłem nauki, zachowały się słabe reminiscencje czarodziejstwa do dnia dzisiejszego. U ludów dzikich, lub mało ucywilizowanych, istnieją w swem pierwotnem natężeniu, zaś w narodach nawet o wysokiej kulturze, znajdują niejednokrotnie szczerych i chętnych wyznawców, w rodzaju czcicieli szatana itp., lub w nieszkodliwej postaci zachowują się wśród ludu wiejskiego jako gusła, czary, zabobony i kabała.

Trzeba tu dodać, że są one ściśle związane z życiem ludu, obracają się dokoła jego spraw codziennych, a więc dotyczą zagadnień związanych z uprawą roli (czary przeciwko suszy, gradowi i powodziom) — związane z chowem bydła, (czary mleczne, wzrokowe, uroki), obracające się dokoła spraw miłosnych, myśliwskich oraz lecznictwa. Wszystkie te czary są na ogół nieszkodliwe, a nawet niejednokrotnie pomocne, np. w lecznictwie, co rozumie się nie wypływa z istoty czarów, lecz skuteczności stosowanych ziół. „Odczynanie", „zamawianie" itp. zabiegi czarodziejskie, być może, że wpływają w małym stopniu, sugestywnie na człowieka. Na przestrzeni dziejów ludzkości, kroczy magja i czarodziejstwo począwszy od prymitywnych sztuczek pierwszych kapłanów, poprzez pracownie średniowiecznych alchemików i szarlatanów, poprzez sztuczki fakirów, aż do strwożonej wiejskiej dziewczyny, proszącej wiejską znachorkę, by zadała jej jakieś ziele na niewiernego kochanka, — drogą nadzwyczaj ciekawą i bogatą w różnorodność zjawisk i czynów wymyślonych przez człowieka. I obojętne, czy będzie czarodziejstwu towarzyszyć zabobon bojaźni ludów pierwotnych, czy jęk żywcem palonych „czarownic" albo ciekawość pięknej pani lub snobizm znudzonych i żądnych emocji gentlemanów, — pozostanie czarodziejstwo w jakiejkolwiek swej postaci, czemś co pociąga i od czego ludzkość nie prędko wyzwoli się i uwolni całkowicie.

T. de H.



Zamek Anioła w Rzymie

Histamina i jej rola w organiźmie

„Qui bene purgat, bene curat".

O słuszności tego starego przysłowia wiedziano już oddawna, przyczem już wtedy przypisywano środkom przeczyszczającym rozleglejsze działanie, nie zaś ograniczone jedynie do przewodu pokarmowego — działanie na cały ustrój drogą oczyszczania krwi ze „złych soków". Wiadomości te jednak były oparte jedynie na doświadczeniu, nie zaś na podstawach naukowych.

Dziś przysłowie to ma uzasadnienie naukowe. Środki przeczyszczające rzeczywiście mają wpływ dobroczynny i na inne procesy odbywające się poza przewodem pokarmowym — więc chodzi tu nietylko o samą ewakuację przewodu pokarmowego, lecz też pośrednio o zabezpieczenie całego organizmu przed szkodliwem działaniem pewnych ciał.

Wiadomo, że w kiszce grubej odbywają się procesy gnilne pod wpływem działania obecnej tam flory bakteryjnej na resztki pokarmów. Powstające na skutek tych procesów pewne ciała dostają się do krwi, wywierają szkodliwy wpływ na cały ustrój. Wiedział już o tem Miecznikow i polecał picie kwaśnego mleka, które dzięki obecności kwasu mlecznego działało bakteriobójczo, — zapobiegało procesom gnilnym i wytwarzaniu się ciał trujących. Systematyczne picie kwaśnego mleka miało przedłużać życie. Nie znano jednak wtedy natury i mechanizmu działania na ustrój tych szkodliwych ciał.

Dziś wiemy, że przy rozpadzie białka w przewodzie pokarmowym powstaje ciało, zwane histaminą — ciało o znanych własnościach chemicznych i farmakologicznych. Ciało to po wprowadzeniu do krwi wywołuje znaczny spadek ciśnienia krwi wskutek rozszerzającego działania na naczynia, kurczy mięśnie gładkie narządów, pobudza wydzielanie soku żołądkowego i jelitowego...

Ciało to powstające w kiszce grubej ulega następnie wessaniu do krwi i zmagazynowaniu w ciałkach czerwonych. W ciałkach czerwonych może się zmagazynować duża ilość różnych ciał, gdyż liczba ciałek czerwonych wynosi około 25.000,000.000.000. Życie poszczególnych ciałek czerwonych jest krótkie: ginie ich około biljona dziennie, a na miejsce rozpadłych przychodzą nowe. Z pośród ciał uwalniających się z rozpadłych ciałek czerwonych na pierwszy plan wysuwa się histamina.

U człowieka najedzonego zawsze we krwi można przez pewien czas wykazać histaminę, ponieważ resztki pokarmów zawsze przez pewien czas zalegają w jelicie i stanowią źródło powstawania histaminy w wyniku procesów gnilnych. Później w miarę wydalania resztek pokarmowych znika ona ze krwi, tak, że u człowieka z normalną sprawnością przewodu pokarmowego naczczo nie stwierdza się histaminy we krwi, jedynie znajduje się ją w narządach, w których jest ona zawsze w pewnej ilości np. w śledzionie, wątrobie.

Człowiek, który cierpi na obstypację wytwarza histaminę w ilości większej i dłużej niż normalnie, bo jak długo zalegają pokarmy, tak długo wytwarza się histamina, magazynuje się w ciałkach czerwonych i ciągle z nich się uwalnia w miarę ich rozpadu, zatruwając organizm i dając tak charakterystyczne objawy obstypacji jak bóle głowy, zaczerwienienie twarzy, wskutek rozszerzenia naczyń głowy przez histaminę, czasem wymioty...

Wykazać histaminę we krwi można już w bardzo małych ilościach: dodanie krwi zawierającej histaminę do odpowiedniego płynu w którym zanużono pewien mięsisty narząd świnki morskiej powoduje sztuczne tężenie tego narządu wskutek działania kurczącego histaminy na mięśnie gładkie. Jest to próba bardzo czuła.

W wyniku tych badań zmieniło się pojęcie rzeczowości. Naczczo jest tylko ten, u kogo nie wykaże się podaną próbę histaminy we krwi.

Więc o czczości decyduje jedynie brak histaminy ze krwi, nie zaś absolutny post. Tak np. prof. W. Koskowski który badał krew u kilku studentów, którzy byli naczczo. W jednym przypadku zauważył, że krew zachowywała się jak po przyjęciu pokarmu tj. wykazała obecność histaminy. I rzeczywiście student ten przyznał się potem, że zjadł śniadanie.

Widzimy więc jakie znaczenie mają środki przeczyszczające dla ogólnego stanu organizmu — nie pozwalają one na zaleganie pokarmów i powstawanie procesów gnilnych, a więc wytwarzanie się histaminy działającej trująco na cały organizm; środki przeczyszczające nie działają, więc jedynie na przewód pokarmowy, lecz na całokształt spraw ustrojowych, czyli prócz działania „miejscowego" wywierają pośrednio działanie ogólne.

N. O.

Oddech wielkiego miasta

Zasadniczy problem nowoczesnego urbanizmu streszcza się w tem, by miastu zapewnić jaknajwięcej wolnej, otwartej przestrzeni. Szerokie ulice i aleje, duże otwarte place, ogrody i skwery, — jaknajwięcej zieleni, — wszystko to razem odgrywa w życiu miasta podobną rolę, jak płuca w organiźmie człowieka.

Miasto bowiem żyje i oddycha, a produkty tego oddychania, zanieczyszczające powietrze, muszą być stale i szybko usuwane.

Przedewszystkiem idzie tu o kwas węglowy, a więc produkt zdecydowanie szkodliwy, wydzielany w olbrzymich ilościach wszędzie tam, gdzie znajdują się większe skupienia ludności.

Jak obliczono, w powietrzu wydychanem przez jednego człowieka w ciągu 24 godzin znajduje się blisko tysiąc gramów kwasu węglowego. Przy miljonowej zatem ludności wielkiego miasta otrzymujemy blisko miljon kg kwasu węglowego na dobę.

Nie koniec jednak na tem: do tej ilości doliczyć należy produkty spalenia gazów w samochodach (wyrażające się cyfrą około 1 i pół miljona kg. na sto tysięcy samochodów), — dalej produkty spalenia w piecach domowych i fabrycznych (obliczone w przybliżeniu na 3 miljony kg.) i wreszcie produkty spalenia gazu świetlnego (obliczane na mniejwięcej 500 tysiecy kg) W sumie zatem miasto o miljonowej ludności „wydycha" w ciągu doby blisko sześć miljonów kg. kwasu węglowego.

Jakim sposobem te olbrzymie ilości szkodliwych produktów zostają usuwane? Zagadnienie to wyjaśniają doświadczenia, przeprowadzone niedawno w Berlinie. Wyniki tych doświadczeń zmuszają nas do poddania rewizji naszych dotychczasowych zapatrywań co do wielkiego znaczenia wiatrów i zieleni w tym procesie.

Oto wedle dokładnych obliczeń przeprowadzonych w berlińskim „Tiergarten" ustalonem zostało, że drzewa nie są zdolne zaabsorbować więcej jak półtora procent kwasu węglowego wytwarzanego na obszarze Berlina.

Co się tyczy wiatrów, to z reguły mają one w każdej dzielnicy miasta pewien stały kierunek, przebiegający pod kątem od 3 do 10 stopni do linji horyzontu. Z tego wynika, że zepsute, wydychane powietrze, pędzone temi wiatrami, kotłuje się poprostu poprzez ulice i place! — trzebaby gwałtownej wichury lub huraganu który zdolny byłby porwać i unieść w górę te miljony kilogramów szkodliwych wyziewów

Nie wiatr zatem i nie drzewa ratują mieszkańców miast od uduszenia. Nie one czyszczą powietrze: rolę tę spełnia — słońce. Ono to wywołuje ów ustawiczny ruch powietrza, który nazwalibyśmy „oddychaniem miasta w kierunku pionowym". Mianowicie pod działaniem promieni słonecznych ziemia ogrzewa się, a w ślad za tem niższe warstwy powietrza, stykające się z ogrzaną ziemią i same od niej ogrzane, wznoszą się ku górze, ustępując miejsca powietrzu cięższemu, zimniejszemu.

Proces ten, niedostrzegalny dla oka odbywa się bez przerwy, a wystarcza w zupełności dla oczyszczenia atmosfery w dużem mieście.

Wedle przeprowadzonych obliczeń już przy minimalnej szybkości tych wertykalnych prądów powietrznych, 0,018 metra na sekundę, następuje oczyszczenie atmosfery do wysokości 83 metrów.

Znajomość tego faktu: oddychania miasta w kierunku pionowym, — wyjaśnia nam też pewien fenomen, stanowiący przez długi czas nierozwiązalną zagadkę: Oto próbki powietrza pobrane na szczycie wieży Eifel w Paryżu wykazywały znacznie większa zawartość kwasu węglowego, zniż próbki pobrane u stóp tej wieży.

I tu wracamy do zagadnienia urbanizmu. Aby zapewnić miastu ten „szeroki oddech", aby umożliwić swobodną silną cyrkulację powietrza w kierunku pionowym, — trzeba mu rozszerzyć owe „płuca", trzeba dać mu jaknajwięcej otwartej przestrzeni, rozszerzać ulice, tworzyć ogrody, parki i skwery. Rozgrzane zaś silnie mury budynków i materjały używane na bruki promieniują więcej znacznie ciepła i przyspieszają cyrkulację ogrzanego i zmieszanego powietra.

(Ri)

Na krótkich falach przez ocean

Kto miał sposobność zetknięcia się z cudzoziemcami, przebywającymi w Polsce, wie, jak gorliwie słuchają oni audycyj radjowych. Nastawiają odbiornik na fale radjostacyj swego kraju i zamieniają się w słuch. Dla nich radjo jest nietylko przyjemną rozrywką, namiastką teatru, czy sali koncertowej, jak dla większości słuchaczy, lecz silną więzią, która łączy ich z ojczyzną. Dla ludzi, żyjących w obcem środowisku, drogie jest każde słowo, płynące z głośnika w ojczystej ich mowie.

Zdają sobie z tego sprawę kierownicy radjofonji we wszystkich krajach i organizują dla swych rodaków, osiadłych zagranicą, specjalne, dla nich przeznaczone audycje. I u nas co kilka dni płynie taka audycja na falach eteru daleko poza granice Polski — do Niemiec, Francji, Danji, Belgji, wszędzie, dokąd sięgają fale stacji raszyńskiej. Tak te audycje specjalne, jak i inne, przeznaczone nietylko dla zagranicy, wywołują wśród naszych rodaków, rozsianych po całej Europie, oddźwięk niezwykle żywy. Z radjowych „skrzynek programowych", w których udziela się odpowiedzi na listy radjosłuchaczy, wiemy, jak odmienne są listy naszych emigrantów, od listów, napływających z kraju. Ta druga kategorja słuchaczy pyta zazwyczaj o drobnostki, wyraża zadowolenie, czy niezadowolenie z takiej, czy innej audycji. Polacy na obczyźnie kreślą w swych listach wrażenia, jakie odnieśli, usłyszawszy po raz pierwszy audycję z rodzinnego kraju, w prostych, lecz jakże nieraz wzruszających słowach opowiadają o swem życiu, skarżą się na brak szkół i książek polskich i nieraz wyrażają obawę, że dzieciom ich zagrozić może wynarodowienie. W tych warunkach każda audycja polska ma dla nich bezcenną wartość. Toteż każdy, kogo stać na kupno odbiornika, spędza wraz z rodziną długie godziny przy głośniku, łowiąc fale z dalekiej Polski.

Tak się przedstawia sprawa, jeśli chodzi o emigrację naszą w krajach europejskich. A co dzieje się za oceanem, w Ameryce, gdzie mieszkają miljonowe rzesze Polaków? Tam Raszyn nie sięga i nie będzie sięgał, choćby powiększył ilość swoich kilowatów i dostał jaknajlepszą falę. Polacy tamtejsi słuchają audycyj obcych i tęsknią za polską mową, pieśnią i muzyką. Od czasu do czasu wystąpi przed mikrofonem któryś z polskich artystów, odbywających tournée po Ameryce, lub odbędzie się zakupiona przez polskie stowarzyszenie audycja propagandowa. A gdy w środowiskach, skupiających większe masy ludności polskiej, n. p. w Chicago, zjawi się w programie radjowym stała „Godzina Polska", kierownicy takiej audycji szukają kontaktu ze „starym krajem" — Polską, czując, że dla polskich słuchaczy w Ameryce najcenniejszą rzeczą będzie polskie słowo z Polski.

Jak nawiązać stały kontakt radjowy z naszymi rodakami na drugiej półkuli? Stacja raszyńska próbowała osiągnąć to drogą pośrednią. Audycje dla Polonji amerykańskiej przekazywano drogą kablową do Anglji, skąd nadawcza stacja krótkofalowa wysyłała je na krótkich falach za ocean, do radjostacji N. B. C., wielkiego radjowego towarzystwa amerykańskiego. Z rozgłośni N. B. C. płynęła polska audycja — już na długich falach — do wszystkich głośników. Jak widzimy, była to droga okrężna, długa i kosztowna, stąd też audycje takie odbywały się bardzo rzadko.

W Anglji, Niemczech i kilku innych nawiązano stałą łączność z emigracją zamorską przy pomocy silnych, krótkofalowych stacyj, nadających codziennie, w odpowiednich godzinach specjalny program, względnie po kolei kilka programów. Berlińska stacja rozpoczęła pracę w r. 1933 od nadawania audycyj dla północnej Ameryki. Obecnie z jej anten kierunkowych, wysyłających krótkie fale w oznaczonym kierunku, płyną audycje do Ameryki północnej, środkowej i południowej, do Południowej Afryki, do Chin i Australji. Nieliczna początkowo liczba współpracowników rozgłośni wzrosła dziś do 70 osób. Programy nadawane są w godzinach nocnych. Obejmują one koncerty, pogadanki, skecze, słuchowiska oraz audycję, która cieszy się na obczyźnie największą może popularnością, „skrzynkę korespondencyjną". Dzięki tej „skrzynce" powstał między emigrantami, a rozgłośnią stosunek jakby rodzinnej zażyłości. Do rozgłośni płyną z dalekich krajów wiadomości o takich nawet zdarzeniach, jak zaręczyny, czy urodziny, speakerzy odpowiadają w serdecznym tonie, składają gratulacje, udzielają rad itd.

Gdy w ubiegłym roku odbywał się w Warszawie Zjazd Polaków z zagranicy, rzucono myśl zbudowania w Polsce krótkofalowej stacji nadawczej. [illegible] audycje przeznaczone byłyby dla kilkomiljonowej rzeszy naszych rodaków w U. S. A. i [illegible] Miejmy nadzieję, że projekt ten [illegible] zrealizowany.

Z dziejów zbójnictwa w Beskidzie Zach.

Ostatni harnaś zbójnicki w Żywiecczyźnie

Po zlikwidowaniu zbójnickiego towarzystwa Marcina Portasza z Bystrzycy na dłuższy okres czasu odetchnęła spokojnie cała żywiecczyzna, która dotąd przez cały wiek XVII żyła pod ustawiczną grozą napadów. Sejmiki księstwa oświęcimsko - zatorskieo nie muszą się już obecnie głowić nad wymyślaniem sposobów obrony, jak to miało miejsce przez całe siedemnaste stulecie, kiedy te okolice ciągle przez zbójników napastowane żyły w ustawicznej grozie. Wielkie to bowiem było wówczas niebezpieczeństwo, — daje nam tego dosadne świadectwo laudum sejmikowe z dnia 30 maja 1624:

„Albowiem za cóż stoją charissima pignora majętności, dostatki wszelakie, mieszkanie przepyszne, bona fortunae et temporis, kiedy spokojnego wyspania, bezpiecznego mieszkania, w domu własnym wolnego używania pracy swojej nie niasz. Od kilku lat w księstwie zatorskiem i oświęcimskiem wzięła górę swawola ludzi plebeiae conditionis, łotrów, rozbójników, którzy wyuzdawszy się i moc wziąwszy na wszelakie zbrodnie i ekscesy sie rozpasawszy nie dosyć na tym, że dwory szlacheckie nachodzą i na osoby się targają, nie dosyć na tym, że ludzie męczą, mordują, nie dosyć na tym, że kościoły, przybytki Boże i klasztory łupią i plądrują, ubogie poddane męczą, zabijają, ale jeszcze zbrodnię do zbrodni dodając i ogniem wsi palą i znoszą".

Przez cały ten wiek władze ustawicznie się ze zbójeckiem towarzystwem zmagają i walczą i nareszcie pod sam już koniec stulecia nastąpiło uspokojenie i znów blisko przez całe sto lat nie słyszymy o większych zbójnickich występach. Ale tradycje „chłopców, co za bucki chodzili" nie wygasły w tych stronach i odżyły na siłach koło roku 1790, dochodząc do rozmiarów poprzednio nie napotykanych.

Ostatniemu „towarzystwu" zbójnickiemu na terenie Żywiecczyzny harnasiował Jurek Proćpak ze wsi Kamesznicy. Proćpak jest do pewnego stopnia Janosikiem tych okolic, dorównywującym prawie tamtemu legendarnemu zbójnikowi zwyczajami, odwagą i męstwem.

Karjerę swą rozpoczął on w 1792 roku bardzo skromnie, zwyczajną kradzieżą cielęcia, za co został przez władze austrjackie osadzonym w Wiśniczu. Udało mu się jednak po wyłamaniu krat zbiec z więzienia. Nie mógł przecie powracać do ludzi, jako więzień bowiem miał ogoloną głowę, trzeba więc było czasu na podrośnięcie włosów. Błąkał się więc przez dłuższy czas po okolicznych lasach, gdzie w krótkim czasie stowarzyszył się z innymi podobnie jak on przez los wyrzuconymi z pośród społeczeństwa. Większość wśród nich stanowili dezerterzy wojskowi. Wrodzone bowiem poczucie wolności stało góralom na przeszkodzie do długiej służby wojskowej w cesarskich szeregach. Ślad tej obawy przed wojskiem zachował sie w piosence:

Idzie z dołu lach,
na goroli strach,
bo nase chłopoki
wezmom na wojoki.

Nie mogąc wracać do wsi rodzinnych, gdzie czekało ich pojmanie połączyli się w gromadę, która szybko rosła w siły i poczęli napadać na wsie i kupców przejeżdżających z towarami z Węgier do Polski. Coraz bardziej zaczynał się rozszerzać zakres ich działalności. Imię Proćpaka strach wzbudzać poczęło daleko na Węgrzech Orawie i Śląsku. Z łupami tam zdobytemi wracali zbójnicy do wsi rodzinnej i tutaj na hulankach po karczmach, szczodrze wszystkich częstując, zyskiwali sobie przyjaciół wśród chłopów i kochanki, z któremi uprzyjemniali niepewne dnia ani godziny życia.

Proćpak poczynał sobie jak tatrzański Janosik, sprawiedliwość czynić" i „świat równać", wspierał więc biednych z kieszeni bogatszych, pomagał ukrywać się zbiegłym od rekrutacji czy też z aresztów. Czasem zaś wydawał dziedzicom surowe wyroki, nakazujące wypłacenie zasług zbiegłej słu̇żbie lub wypuszczenie na wolność osadzonego w areszcie dominikalnym. Zakochał się harnaś w pięknej szlachciance i pragnąc sobie zjednać jej względy przesyłał ustawicznie do dworu łapane w sidła kwiczoły i jarząbki i przyrzekł nie napadać na dwór swej bogdanki. Raz nawet zjawił się we dworze na przyjęciu w przebraniu węgierskiego szlachcica i po tańcu ze swą wybranką obdarował ją bogatym złotym łańcuchem. Grzeczną tę wizytę zakończył Proćpak ucałowaniem szat swej bogdanki i wystraszonej jej matki, a wyszedłszy na pole gwizdnął na rozstawionych towarzyszy i uradowany chwilą pobytu z ukochaną uszedł w lasy.

Miał Proćpak i drugą wybrankę serca ze wsi Kamesznicy, w której domu ukrywał się często między podwójnie specjalnie zrobionym dachem.

Przez trzy pełne lata była banda Proćpaka postrachem podróżnych, plebanów, dziedziców i karczmarzy. Różne miejscowości nawet bardziej oddalone jak Kalwarja, Nowy Targ, Nowy Sącz, Polhora i Czacza zwracały się z ustawiczną prośbą do władz, domagając się pomocy. Władze austrjackie postanowiły uciec się do ostatecznego środka i w 1795 roku ogłoszono w Żywiecczyźnie sądy doraźne (Standrecht). Trudno było jednak zlikwidować bandę składającą się przeszło ze 150 członków — tembardziej, że ludność miejscowa sympatyzująca ze zbójnikami, ustawicznie przestrzegała ich o krokach i zamierzeniach władz. Trzystu żołnierzy, cała armja gajowych z dóbr hr. Wielopolskiego przez kilka miesięcy bezskutecznie tropiła zbójników.

Dopiero niezwykle ostra zima położyła kres zbójnickiej epopei. Zbójnicy rozlokowali się po wsiach, płacąc za legowiska zimowe pieniądzmi, a często także i miłością. Tu czekała straszliwa pułapka w postaci kobiecej gadatliwości. Proćpakowa kochanka nieopatrznie wygadała się z tem, że u niej ukrywa się poszukiwany harnaś. Urządzono obławę i pojmano go. Gdy brakło wodza, cała banda wkrótce została pojmaną mimo bohaterskiej nieraz obrony

Rozpoczął się więc w Milówce proces sądowy, w którym na ławie oskarżonych zasiadło aż 143 zbójników. Przewód sądowy trwał 3 dni tj. do dnia 25 stycznia 1796 roku. Ostatnim sadzonym był Proćpak, który zdołał się jeszcze przedtem zemścić na Hance Sołtysce, niewiernej kochance, udusiwszy ją kajdanami w czasie jej odwiedzin w więzieniu. Przyznał się harnaś do swoich przestępstw, a była ich spora litanja: 64 rabunki, 13 morderstw, nie licząc drobniejszych sprawek.

A jak przedstawiał się wobec tego bilans sądu doraźnego? Proćpak i dwudziestu innych zbójników zawisło szubienicy, czterdzieści jeden osób skazano na więzienie przeważnie dożywotnie w Wiśniczu, siedemdziesięciu siedmiu ukarano chłostą, dezerterów zaś odesłano do ukarania do pułków.

Od tego czasu wiele już lat upłynęło. Zmieniły się czasy i zmienili się też i ludzie. Zbójnictwo na terenie Żywiecczyzny z likwidacją Proćpakowej bandy istnieć przestało. Ale Proćpak żyje jeszcze w tradycji, dotąd starzy górale nieraz z pewnego rodzaju tęsknotą za temi „lepszemi czasami" wspominają o jego sprawkach. O Proćpaku tylko jedynym z beskidzkich zbójników śpiewano jeszcze w połowie ubiegłego wieku, wysławiając jego czyny. Obecnie zaś mieszkańcy wsi Kamesznicy za największą obrazę poczytują sobie nazwanie ich „kroćpakami". Przekręcone nazwisko zbójnika stało się kamieniem obrazy, która często kończy się w najlepszym razie rozprawą w milowieckim sądzie, o ile nie samosądem wymierzanym przez obrażonego przy pomocy kołu z płotu czy też noża.

Mgr. Stanisław Szczotka
Kraków.

—::—

Przyszłość telewizji

Duże zainteresowaine wywołała w swoim czasie wiadomość o zainstalowaniu w Londynie pierwszego teatru telewizyjnego. W ślad za Anglją poszły Niemcy, budując pod Berlinem w Witzleben specjalną stację nadawczą, z której co dnia nadaje się obrazy systemem telewizji.

Zdawać się mogło zatem, że problem telewizji został już definitywnie rozwiązany, że w krótkim już czasie stanie się telewizja równie popularną i dostępną dla najszerszej publiczności, jak radjo.

W rzeczywistości sprawa ta wygląda inaczej: w dzisiejszym stanie rzeczy trudno poprostu przewidzieć, kiedy telewizja zdobędzie sobie prawo obywatelstwa wśród rzesz dotychczasowych radjoabonentów.

Przedewszystkiem ze względu na bardzo wysokie koszty instalacji stacyj nadawczych, których zasięg nie przekracza, w najlepszym razie, promienia 150 kilometrów. Niemniejszą trudność sprawia połączenie wzajemne tych stacyj, do czego potrzebne są specjalne kable, dostosowane do wielkiej częstotliwości.

Z drugiej strony i kwestja teleodbiorników czeka dotychczas na zadowalniające rozwiązanie. Wbrew ogólnie utartemu mniemaniu koniecznym jest do tego celu nie jeden, lecz dwa odrębne odbiorniki: jeden dla chwytania i reprodukowania przesyłanych obrazów, drugi dla chwytania synchronizowanych dźwięków, słów, muzyki czy śpiewu.

Jest to rzeczą zupełnie zrozumiałą, skoro uprzytomnimy sobie zasadnicze różnice w technice odbioru obrazów, a dźwięków: w pierwszym wypadku, idzie o przetransponowanie odbieranych przez telewizor zmian prądów modulowanych na obrazy, w drugim natomiast tylko o amplifikację tych prądów i ich częstotliwości.

Wyjaśni to prosty rachunek: poszczególny obraz, nadawany telewizyjnie, rozłożony jest na 3600 punktów czarnych i tyleż białych. Licząc 25 takich obrazów na sekundę otrzymujemy 45 tysięcy punktów czarnych i tyleż białych czyli 45 tys. oscylacyj na sek. co równa się 45 kilocyklom. Tymczasem dobry radjoodbiornik posiada z reguły selektywność nie przekraczającą 9 kilocykli, a zazwyczaj nawet niższą.

W tych warunkach jest rzeczą wykluczoną, by można zapomocą jednego odbiornika odbierać równocześnie i obrazy i dźwięki.

Jak już wspominaliśmy w swoim czasie, cały szereg firm niemieckich pracuje intenzywnie nad skonstruowaniem praktycznego, standartowego typu tele-odbiornika. Dopóki to nie nastąpi, dopóki cena takiego odbiornika — przy masowej produkcji — nie obniży się do poziomu zwykłego dobrego radjo-odbiornika, — telewizja zostanie przywilejem szczupłej garstki amatorów i fachowych techników.

Zresztą wysokie koszty budowy stacyj nadawczych, o małym stosunkowo zasięgu, stoją również na przeszkodzie w rozpowszechnieniu się tego wspaniałego coprawda wynalazku, który jednak nie wyszedł jeszcze dotąd ze stadjum prób i doświadczeń. **(R.)**

Najpłodniejszy pisarz świata

Na miano to zasługuje w całej pełni wielki poeta hiszpański, Lope de Vega, którego trzechsetlecie śmierci obchodzi w tym roku Hiszpanja w sposób bardzo uroczysty.

Twórczość Lope de Vegi przypada na złoty wiek literatury hiszpańskiej, który wydał też i autora nieśmiertelnego Don Kiszota i Calderona de la Barca. A twórczość to była gigantyczna: wedle twierdzenia jednego z jego uczniów, pozostawić miał Lope de Vega przeszło dwa tysiące utworów scenicznych oraz sześćdziesiąt tysięcy (!) krótszych poematów lirycznych i epicznych, czyli ogółem przeszło sześć i pół miljona wierszy. Więcej zatem, niż wszyscy dramaturgowie hiszpańscy razem wzięci.

Niedziw więc, że Cervantes, jego rówieśnik i rywal, nazywał poetę „cudem przyrody".

Ta niesłychana płodność i łatwość pisania odbiła się poczęści ujemnie na dziełach Lope de Vegi, w szczególności na jego utworach scenicznych, nie opracowanych i nie wykończonych należycie. Bo Lope de Vega był przedewszystkiem pisarzem dramatycznym. Chciał się podobać tej publiczności teatralnej, której był ulubieńcem. Liczył się z jej upodobaniami. Nie szczędził w utworach swych dramatycznych, „sensacyjnych" nawet, — jakbyśmy to dziś określili — powikłań, które jednak zawsze kończyć się musiały szczęśliwem i pogodnem rozwiązaniem.

Stąd wszystkie niemal jego sztuki sceniczne podpadają pod kategorję „tragikomedji", stanowiąc mieszaninę momentów tragicznych i pogodnych.

On sam nazywał je „komedją nową", dla odróżnienia od obowiązującego dotychczas szematu komedji antycznej z obowiązkowemi trzema jednościami Arystotelesa.

Za życia ulubieniec publiczności, po śmierci ustąpić musiał miejsca swym wielkim rywalom: Cervantesowi i Calderonowi.

Znikoma tylko część jego dzieł doczekała się przekładu na obce języki, i to głównie jego dramaty. Natomiast prawie zupełnie nieznaną nam jest jego twórczość poetycka, przedewszystkiem jego liryki, pełne nastroju, wdzięku i specjalnego, czysto zawodowego kolorytu.

Z rzeczy przełożonych na język polski wymienić należy przedewszystkiem „Gwiazdę Sewilli" w przekładzie Święcickiego. Jest to jeden z najlepszych dramatów Lope de Vegi. Wartoby, żeby który z teatrów polskich wystawił tę sztukę, dla uczczenia pamięci jednego z największych a najpłodniejszego poety hiszpańskiego. (kr.)

Świat zwierząt epoki lodowej

Dla dzisiejszego mieszkańca Europy środkowej i północnej nie jest łatwą rzeczą wyobrazić sobie, że był niegdyś, co prawda bardzo dawno, czas, kiedy w krajach tych żyły słonie. Możemy sobie przedstawić słonia na tle krajobrazu podzwrotnikowego; ale u nas, na północy? Lecz jeszcze trudniejszem wydaje się nam przypuszczenie, że człowiek mógł kiedyś żyć współcześnie ze zwierzętami, które dziś już zupełnie wymarły.

A jednak! posiadamy świadectwa całkiem pewne, które dowodzą, że tak było w istocie: że u nas, w Europie środkowej i północnej, a więc i w Polsce, żyły słonie i że wymarły dopiero wtedy, gdy człowiek już dawno pojawił się był na ziemi.

Że słonie żyły niegdyś na naszej ziemi, o tem pouczają nas liczne znaleziska kości tych zwierząt, o których poniżej powiemy nieco obszerniej. Że zaś żyły współcześnie z człowiekiem, na to dowodem niezbitym są rysunki, wykonane ręką ludzką, znalezione we Francji południowej w jaskiniach, które służyły za mieszkanie człowiekowi pierwotnemu. Są to rysunki, którym daleko do artyzmu. Przedstawiają one słonie ze skórą silnie ułosioną i z silnie zakrzywionymi „kłami". Zwierzęta te musiały więc być współczesne człowiekowi; bo skądżeby mógł wziąć ich obraz, gdyby ich sam nie oglądał?

O tych rysunkach dowiedział się świat naukowy dopiero bardzo późno. Lecz za to posiadali ludzie innego rodzaju wiadomości o mamucie, i to od czasów bardzo dawnych: wykopywane od czasu do czasu kości tego zwierzęcia. Kości mamuta znajdujemy w najwyższych, a więc i najmłodszych warstwach skorupy ziemskiej, w tak zwanem diluvium. Ponieważ zaś warstwy te składają się z materjału luźnego i miękkiego (glina, szuter, löss etc.), przeto kości te stosunkowo nietrudno znaleźć i oczyścić z otaczającego je środowiska. Prócz tego kości te nie są wcale rzadkie; w wielu miejscach znajdują się nawet masowo. To też mamuta kości znane były oczywiście już od stoleci. Pobudzały one swoim ogromem wyobraźnię i uchodziły za nadzwyczajne curiosum. Zawieszano je bardzo często na żelaznych łańcuchach u wejścia do kościołów. U nas, w Krakowie, znajdują się takie kości mamuta, zawieszone u wejścia do kościoła katedralnego na Wawelu.

Lecz przez długi czas łamano sobie nadaremnie głowę nad tem, co też to mogły być za istoty, które posiadały kości tak olbrzymich rozmiarów.

Bądź co bądź jednak musiały siekacze mamutów, które od czasu do czasu znajdowano razem z innemi kośćmi, wzbudzać pewne wątpliwości, czy są to rzeczywiście kości olbrzymów. Ale zawsze jeszcze było bardzo daleko do odgadnięcia prawdziwego stanu rzeczy. Siekacze uważano między innemi za rogi. Kiedy burmistrz Magdeburga, Otto von Guericke (znany jako wynalazca pompy powietrznej) znalazł w pobliżu Quedlinburga pewną ilość kości mamutowych, a między niemi także jeden siekacz i posłał je największemu uczonemu owych czasów, słynnemu Leibnizowi, ten złożył z otrzymanych kości dwunożny szkielet, z jednym rogiem w środku czoła, i to „zrekonstruowane" przez siebie dziwne zwierzę nazwał wymarłym jednorożcem.

Nawiasowo można dodać, że „kości olbrzymów" były poszukiwanym towarem. Przypisywano im bowiem szczególne własności lecznicze i sprzedawano w stanie sproszkowanym w aptekach.

Kiedy w końcu poznano, że ma się do czynienia z kośćmi słoni, myśl o tem, że zwierzęta te mogły żyć na naszem terytorjum, była jeszcze ciągle bardzo daleka. Raczej przypuszczano, że kości te pochodzą od słoni, które Hannibal wiódł ze sobą podczas słynnej wyprawy z Hiszpanji przez Gallię i Alpy do Włoch i które uległy trudom pochodu i zabójczym warunkom atmosferycznym. Wydawało się zupełnie nie możliwem, ażeby w naszym surowym klimacie mogły żyć słonie. A już nie przypuszczano nawet, że mamuty zamieszkiwały nasz kraj w czasie, w którym klimat był znacznie surowszy i zimniejszy, niż dzisiaj.

Aż oto pewnego dnia otrzymano nieoczekiwane informacje o całej sprawie; były one tak zupełne, że teraz można już było wytworzyć sobie całkiem wyraźny obraz o budowie i życiu mamuta. Lat temu około 140, w r. 1799, odkrył na Syberji, na wschód od ujścia Leny, jeden z tubylców całkowicie zachowane zwłoki mamuta, które ukazały się na powierzchni ziemi po jej odtajaniu pod wpływem silnie operujących promieni słonecznych. Co prawda, gdy wiadomość o tem doniosłem odkryciu dotarła do Europy i uczony rosyjski Adams przedsięwziął kroki, by znalezione zwierzę zachować dla muzeum w Petersburgu, wówczas nie było już mowy o całości znaleziska. Wilki i inne drapieżne zwierzęta nie pominęły okazji i prawie zupełnie zniszczyły tak cenny objekt przyrodniczy. Bądź co bądź, miano już teraz pewną, autentyczną wiadomość o tajemniczym dotąd mamucie. Przedewszystkiem dowiedziano się wówczas, że miał on na sobie grube futro, że mógł więc znosić bez trudności nietylko nasz dzisiejszy klimat, lecz także zimno znacznie większe od naszego.

Ale nie koniec na tem: w ciągu dziewiętnastego wieku znaleziono około dwudziestu mniej lub więcej dobrze zachowanych zwłok mamuta. Wszystkie one były wmarznięte w ziemię syberyjską i w ten sposób zachowane zostały przed rozkładem i przed innemi niebezpieczeństwami, które mogły ich całości zagrażać. Przez całe tysiąclecia ciało ich zachowało się prawie bez zmiany. A oto słońce uwolniło ziemię z oków lodowych i na jej powierzchni ukazały się zwierzęta, które dotychczas stanowiły nieodgadnioną zagadkę dla uczonych.

Dla tubylców na Syberji nie było to jednak zjawisko nieznane. Już dawniej nieraz widzieli oni, jak w różnych miejscach wydobywały się z ziemi te olbrzymie cielska, jak „dźwigały się" do góry — i starali się wytłumaczyć sobie na swój sposób ten tajemniczy proces. Przyjmowali oni, że zwierzęta te żyją pod ziemią i że grzebią się w ziemi na sposób np. kretów. Stąd właśnie pochodzi nazwa „mamut", która jest pochodzenia syberyjskiego. Nie oznacza ona mianowicie nic innego, jak zwierzę grzebiące się w ziemi. Zwierzęta te — tak tłumaczą sobie tę sprawę mieszkańcy Syberji — mogą żyć wyłącznie tylko w ciemnościach podziemnych. Gdy się dostaną na światło dzienne, wtedy już po nich, muszą zginąć. Zwłoki mamuta, znajdywane od czasu do czasu, pochodzą więc zdaniem tubylców na Syberji od zwierząt, które wśród swych wędrówek podziemnych wydostały się z chroniącego je łona ziemi na zabójcze dla nich światło dzienne i przypłaciły to życiem.

Ale szczególnie doniosłe i interesujące było odkrycie, dokonane w roku 1901 nad rzeką syberyjską Berezowką. Odkryciu temu zawdzięczamy najnowsze i najdokładniejsze informacje o mamucie. W kwietniu 1901 nadeszła stamtąd wiadomość, że w stromem urwisku na brzegu tej rzeki odkryto zwłoki mamuta. Wkrótce wysłano ekspedycję, mającą zadanie zaopiekować się znaleziskiem i zabezpieczyć je dla dalszych badań. Samego odkrycia dokonano już dziesięć miesięcy przedtem, a to w sposób następujący: jeden z tubylców znalazł podczas polowania wielki siekacz mamuta. Po bliższem rozejrzeniu się na miejscu odkrycia odnalazł także głowę. Na głowie jednak brakowało już trąby, jednego siekacza jakoteż wielkiej części skóry. Siekacz, który najpierw znaleziono, nie należał jednak do tej głowy. Znalazca i dwaj inni, towarzyszący, tubylcy odłamali jeszcze drugi siekacz, by obydwa sprzedać. Przy tej sposobności wiadomość o tem odkryciu doszła do wiadomości władz miejscowych. Szybko zorganizowano ekspedycję z łona petersburskiej akademji umiejętności. Ekspedycja ta przybyła już we wrześniu 1901 na miejsce i rozpoczęła natychmiast odkopywanie zwłok. Zajęło to cały miesiąc czasu.

Zwłoki te znaleziono w charakterystycznej pozycji, która nasuwała wniosek, że zwierzę wpadło tyłem do rozpadliny lodowej i bezskutecznie usiłowało stamtąd się wydostać. Inne spostrzeżenia, poczynione na zwłokach, jak np. ciężkie złamania kości (między innemi złamanie miednicy) i ogromna ilość zakrzepłej krwi w jamie piersiowej i brzusznej, wskazywały, że zwierzę uległo, po ciężkiej agonji, odniesionym ranom. Bliższe zbadanie odkrycia rzuciło też sporo światła i na niektóre inne okoliczności katastrofy. I tak udało się stwierdzić, że zwierzę to uległo wypadkowi w czasie, gdy się pasło i że zginęło po krótkiej walce ze śmiercią; miało bowiem jeszcze w pysku resztki pożywienia. Okazało się też, że katastrofa musiała nastąpić w jesieni, ponieważ rośliny, znalezione w pysku mamuta, posiadały już, wszystkie bez wyjątku, nasiona. Z tym wnioskiem zgadzał się doskonale fakt, że ciało było dobrze zachowane; wskazuje on bowiem na to, że zwłoki zamarzły wkrótce po śmierci zwierzęcia.

Owłosienie zwierzęcia było rozmaitej długości i barwy. W niektórych miejscach było ono stosunkowo krótkie, bo wynosiło tylko 4—12 cm., np. na nogach. Na tułowiu było ono dłuższe, 20—30 cm.; na piersi i na barkach dochodziło do 36 cm., ale członkowie ekspedycji byli zdania, że nie zachowało się ono tu w swej pierwotnej długości, która mogła wynosić około 50 cm. Między włosami miękkimi znajdowały się miejscami włosy szczeciniaste, mające u korzenia pół mm. średnicy. Barwa włosów była miejscami jasno brunatna, miejscami przybierała odcień czerwono brunatny, na pysku czarno brunatny. W niektórych miejscach poszczególne włosy miały barwę niejednostajną: u korzenia były czerwono brunatne, dalej ku górze jasno brunatne, u końca zaś żółtawe. Skóra miała grubość 2 cm. Pod nią znajdowała się warstwa tłuszczu, gruba na 9 cm. Mięso miało wygląd zamrożonego mięsa wołowego lub końskiego i wyglądało bardzo apetytnie, tak, że badacze rosyjscy mieli ochotę skosztować go. I rzeczywiście, tubylcy na Syberji, gdy mają po temu sposobność, jedzą mięso mamuta. Lecz członkowie ekspedycji zrezygnowali ze swego chwilowego zamiaru, gdyż skutki rzeczywiście trudno było przewidzieć. Psy jednak pożerały rzucone im mięso bardzo skwapliwie. Wewnętrzne narządy mamuta były niestety zachowane bardzo źle.

Dobrze zachował się ogon. Miał on tylko 36 cm. długości. Był on u nasady niezwykle szeroki. Obwód jego wynosił w tem miejscu 32 cm. Ale ta gruba część ogona miała tylko około 15 cm. długości; w dalszej swej części zwężał się on szybko, tak iż cały ogon miał mniej więcej kształt rzodkiewki lub buraka. Górna, gruba część ogona była w dotyku miękka i składała się całkowicie z tłuszczu. Ogon był na swej zewnętrznej stronie owłosiony, natomiast część wewnętrzna była pokryta miękką, nieowłosioną skórą. Na końcu ogona znajdowała się kiść, złożona z szczeciniastych włosów, długości 30 cm.

Mamut z nad Berezowki był zwierzęciem stosunkowo małem. Długości miał tylko 3 m., wysokości 2 m. i mógł ważyć około 2.000 kg. A więc nie dorównywał nawet w przybliżeniu dzisiejszym słoniom, ani co do wielkości, ani co do wagi. Zachowany siekacz miał długości 1,75 i ważył około 21 kg.

Ekspedycja przywiozła do Petersburga tyle ze znalezionych szczątków mamuta, ile tylko mogła. Poszczególne części tych szczątków poddano następnie na miejscu szczegółowemu badaniu. Prócz tego dokonano artystycznej rekonstrukcji znalezionego zwierzęcia. Rekonstrukcja ta znajduje się obecnie również w Petersburgu.

Na podstawie odkrycia nad Berezowką, jakoteż na podstawie wszystkich innych, poprzednio i potem dokonanych odkryć, możemy sobie odtworzyć następujący obraz budowy i życia zwierzęcia: Mamut (Elephas primigenius) był słoniem, budową zbliżonym do słonia indyjskiego. Nie był on bynajmniej największym przedstawicielem rodziny słoni, które żyły na ziemi. Mógł on mieć około 4 m. wysokości. Oczywiście, jest to wielkość pokaźna, ale słoń afrykański może osiągnąć tę samą wysokość. Mamut nie był więc znacznie większy od swego kuzyna afrykańskiego.

Czaszka mamuta różni się tem od czaszek dzisiejszych słoni, że posiada ona obszerniejsze przestrzenie powietrza. Kości słonia są, jak wiadomo, ogromnie grube, i gdyby się składały w całości z masy kostnej, czaszka byłaby bardzo ciężka. Ale tak w rzeczywistości nie jest. Albowiem te potężne kości mają wewnątrz wielkie wydrążenia, wypełnione powietrzem (podobnie, jak kości ptaków). Otóż te miejsca próżne są u mamuta jeszcze znacznie większe, niż u jego dzisiejszych krewniaków.

O wiele potężniej, niż u [illegible] słoni, rozwinięte są u mamuta kły (ściśle biorąc — siekacze). [illegible] czas gdy u słonia indyjskiego mają długości około 1,50 m [illegible] bardzo wielkich osobników [illegible] długość 2,50 m; podczas gdy [illegible] afrykańskiego długość ich wy[illegible]czajnie 1,80 m. i tylko w wy[illegible] wypadkach przekracza nieco [illegible]ne są wypadki, w których kły mają przeszło 4 m. długości [illegible] gdy jeden siekacz słonia ind[illegible] waży najwyżej około 50 kg., [illegible] zaś słonia afrykańskiego najwy[illegible] koło 75 kg., znajdowano siekacze [illegible] mutów wagi 125 kg. tj. tyle, [illegible] nosi maksymalna waga siekaczy [illegible] indyjskiego i afrykańskiego, [illegible] wziętych. Rzecz jasna, że [illegible] rozmiarów posiadać mogły [illegible] gromne męskie osobniki. Ok[illegible] miec dźwigał zatem około 250 [illegible] ści słoniowej. Siekacze sa[illegible] mniejsze i słabsze; prócz tego [illegible] się one od zębów samców i tem, [illegible] zakrzywienie spiralne było [illegible] Zresztą stopień zakrzywienia był rozmaity również i u samców [illegible] gólc kształt tych zębów sprawia[illegible] czom wiele trudności. Niektóre [illegible] (między nimi także u mamuta [illegible] zionego nad Berezówką) wy[illegible] wiem kształty, bardzo odbiegające [illegible] formy, zwykle znajdowanej. [illegible] dziłoby to jednak zbyt daleko, [illegible] my chcieli przyjąć za regułę, [illegible] jest oczywistym wyjątkiem, że w[illegible] kie mamuty posiadały zęby [illegible] kształtu.

Siekacze zbudowane są z [illegible] tak samo, jak u słoni żyjących, z [illegible] słoniowej. Kość słoniowa zębów mamuta jest doskonale zachowana, nie zwietrzała i niełamliwa, w przeciwieństwie do wszelkich innych kości kopalnych. Jest dziś przeto, zupełnie [illegible]wni z kością słoni żyjących przedmiotem handlu i przeróbki. Dla mieszkańców Syberji stanowi handel kopalną kością słoniową dość pokaźne źródło zarobku. Cena za pud (= 16,38 [illegible]) wynosi 20—30 rubli, za towar wy[illegible]rowy 40—50 rubli. W jakich ilościach znajduje się tę kopalną [illegible] słoniową, o tem pojęcie daje fakt, że około trzecia część pojawiającej się w handlu kości słoniowej jest właśnie pochodzenia kopalnego.

D. D.

ŚWIAT KOBIECY

Ploteczki o modzie

— Nowością są suknie całe plisowane; spódniczka od góry do bioder stebnowana, żeby zbytnio nie poszerzała.

— Pisaliśmy już o modzie kolorowych pończoch. Moda ta przyjmuje się coraz szerzej, — przedewszystkiem o ile idzie o pończochy sportowe, robione przeważnie z cienkiej wełny lub lnianej przędzy. W mieście nosi się cieniutkie jedwabne pończoszki granatowe, dyskretne i nie rzucające się w oczy. Doskonale uzupełniają one granatowy kostjum i pantofelki.

— Kombinacja białe - czarne święci triumfy. Bardzo ładnie wygląda zestawienie czarnej spodniczki w białe groszki; kombinacja to szczególnie ulubiona obecnie w Paryżu.

Do czarnej spodniczki nosi się obcisły biały żakiecik, zapinany na duże czarne guziki.

— Rękawiczki zawsze z manszetem, przybranym ażurami, ściegami, zakładeczkami itp. Do sukni wizytowej manszet z atłasu lub aksamitu.

— Na zimę przygotowują nowy model rękawiczek z umieszczoną na wewnętrznej stronie małą kieszonką na drobne pieniądze, zamykaną na zatrzask błyskawiczny. Inowacja ta powinna się przyjąć, oszczędzi nam bowiem wyciągania pularesu z torebki i szukania w nim drobnych.

— Inna nowość, to okrycia z tafty bardzo grubej i mięsistej, nawet dość ciężkiej.

— Materjały prążkowane znajdują duże zastosowanie, zwłaszcza przy strojnych sukniach wieczorowych. Kombinuje się je z materjałem gładkim w najrozmaitszy sposób. Zniknęły jednak drobne, dyskretne prążki: obecnie modne są tylko bardzo szerokie pasy, przeważnie nierównej szerokości, przypominające prążkowaną skórą zebry lub tygrysa.

— Paski bardzo szerokie, skórzane, metalowe, z plecionego sznurka, w kolorach żywych.

Na plaży i w wodzie

— Dominują przedewszystkiem krótkie shorty, robione przeważnie z płótna. Odpowiednie są one zwłaszcza dla osób wysokich o smukłych nogach.

— Pyjamy znikły zupełnie. Ich miej-



sce zajmują sukienki plażowe, bardzo rozcięte u dołu. Spódniczka szeroka, przypięta do paska paroma guzikami, do tego króciutki żakiecik.

Sukienki plażowe, ręcznie tkane z wełny, cieszą się dużem wzięciem.

— Oryginalną nowością, sygnalizowaną z Paryża, są kostjumy kąpielowe z jedwabnego aksamitu, odpornego zupełnie nawet na wodę morską.

— Parasolki z płótna lub kretonu, w żywych kolorach.

— Kostjumy kąpielowe w kratki, paski, groszki. Zestawienie kolorów śmiałe: biało-czerwone, biało-niebieskie, czarno-białe, czerwono-żółte.

— Sandały i letnie obuwie na plaży w rozmaitych jaskrawych kolorach: czerwony, zielony, szafirowy, często w kombinacji dwóch kolorów. Obuwie takie nosi się zawsze bez pończoch. Na podbiciu dość wysokie, odsłaniają nogę z boków i z tyłu.

Bardzo ładnie wyglądają białe sandały greckie bez korka, zrobione całe z wąskich paseczków miękkiej skóry chevreau i związane na rzemyczek.

KOBIETY W SĄDACH SZWAJCARSKICH

Dwa kantony, mianowicie Neuchatel i Genewa zdecydowały wprowadzić kobiety na sędziów w sądach dla małoletnich. W Genewie ta mała reforma wywołała taką opozycję, że trzeba było odwołać się do plebiscytu. Wynik głosowania zatwierdził reformę małą większością głosów.

POŻÓŁKŁE KLAWISZE fortepianowe czyści się w sposób następujący: kładzie się na nie kolejno kawałek waty zanurzonej w wodzie utlenionej. Po paru godzinach zdejmujemy watę i klawisz obmywamy czystą zimną wodą. Trzeba tylko uważać, by woda nie dostała się do środka.

Poradnik dla gosposi

KURCZĘTA DUSZONE.

2 kurcząt, 2 dkg masła, 2 dkg tartej bułki. Rozgrzać w rondlu masło tak, by było prawie rumiane, włożyć całe kurczęta, uprzednio nasolone, obsmażyć je wokoło na silnym ogniu, poczem zestawić na wolniejszy i przykryte pokrywą wolno dusić, obracając często, aby się zbytnio z jednej strony nie przypiekły. Gdy już są miękkie, utarzać każde kurczę w przesianej bułce, podrumienić mocno na silnym ogniu. Gdy gotowe (powinny się piec ok. 3 kwadransów) porozcinać na połówki. Podać z sałatą lub zielonym groszkiem.

PÓŁKRUCHY PLACEK Z RZEWIENIEM

Marmelada: 40 dkg rzewienia, 20 dkg cukru, skórka cytrynowa. Ciasto: 36 dkg mąki, 12 dkg sadła topionego, 15 dkg cukru w pudrze, 1 jajo, śmietana, ¾ proszku spulchniaj., cukier z wanilją.

Rzewień opłokać, przepuścić przez maszynkę do mięsa, wygotować na silnym ogniu. Gdy zacznie gęstnieć, dodać cukru i wysmażyć do takiej gęstości, aby marmelada dała się łatwo rozsmarować.

Mąkę posiekać z tłuszczem, wymieszać z cukrem, dodać jajo i tyle śmietany, aby powstało ciasto niezbyt twarde. Do ciasta dosypać proszku i niedługo wyrabiając podzielić je na dwie części. Jedną częścią wyłożyć dno blachy i posmarować marmeladą. Drugą połowę ciasta wywałkować, przykryć nią placek z marmeladą, złączyć starannie brzegi. Placek posmarować, posypać kryształem, pokłuć w wielu miejscach aż do dna. Upiec w dobrze wygrzanym piekarniku na kolor złoty. Po upieczeniu dopóki ciasto gorące posypać cukrem z wanilją, pokrajać w małe kawałki (16 sztuk).

SUFLET Z TRUSKAWKAMI

8 białek, 15 dkg cukru, ćwierć szkl. wody, 1 szkl. drobnych truskawek lub poziomek.

Z cukru i wody zrobić syrop i gorący lać na mocno bitą pianę. Potem wymieszać z owocami, włożyć na posmarowany ogniotrwały półmisek, posypać mąką i wstawić do letniego pieca. Gdy się zarumieni podawać natychmiast z zimną śmietanką, lub z waniljowym sosem. Końcem drewnianej łyżki zrobić w środku sufletu otwór, aby mogła nim wychodzić para, która wydziela się z surowych owoców.

KRUCHE GRZANKI

15 dkg mąki, 1½ jaja, proszku spulchniającego na koniec noża, smalec, 2 dkg cukru-pudru.

Zarobić ciasto tak twarde, jak na makaron, wyrobić bardzo starannie, dodać proszek. Ciasto wywałkować grubo bez podsypywania mąką, wykrawać drobną okrągłą foremką (lub wyparzonym dużym naparstkiem). Rozgrzać tłuszcz. Gdy zacznie dymić, wrzucić wykrajane grzanki, usmażyć na kolor jasno-złoty, wybrać łyżką cedzakową, osączyć na bibule, oprószyć cukrem. Podawać do zup owocowych.

KLUSKI ZIEMNIACZANE Z TWAROGIEM

40 dkg ziemniaków, 20 dkg mąki, ½ jaja, sól, 10 dkg twarogu tartego, 4 łyżki masła, 2 łyżki tartej bułki.

Ziemniaki ugotować, ostudzić, przetrzeć, dodać ½ jaja, wymieszać, dodać przesianą mąkę, osolić. Formować okrągłe kluseczki i gotować w osolonej wodzie. Podawać polane zrumienionem masłem z bułeczką i posypane serem. Można je również podawać z sosem pomidorowym lub powidłanym.

Na kortach tenisowych

Tracyjny biały strój tenisowy ustępuje zwolna miejsca wygodnym i praktycznym shortom oraz koszulom z wykładanym kołnierzem i krótkiemi rękawami.

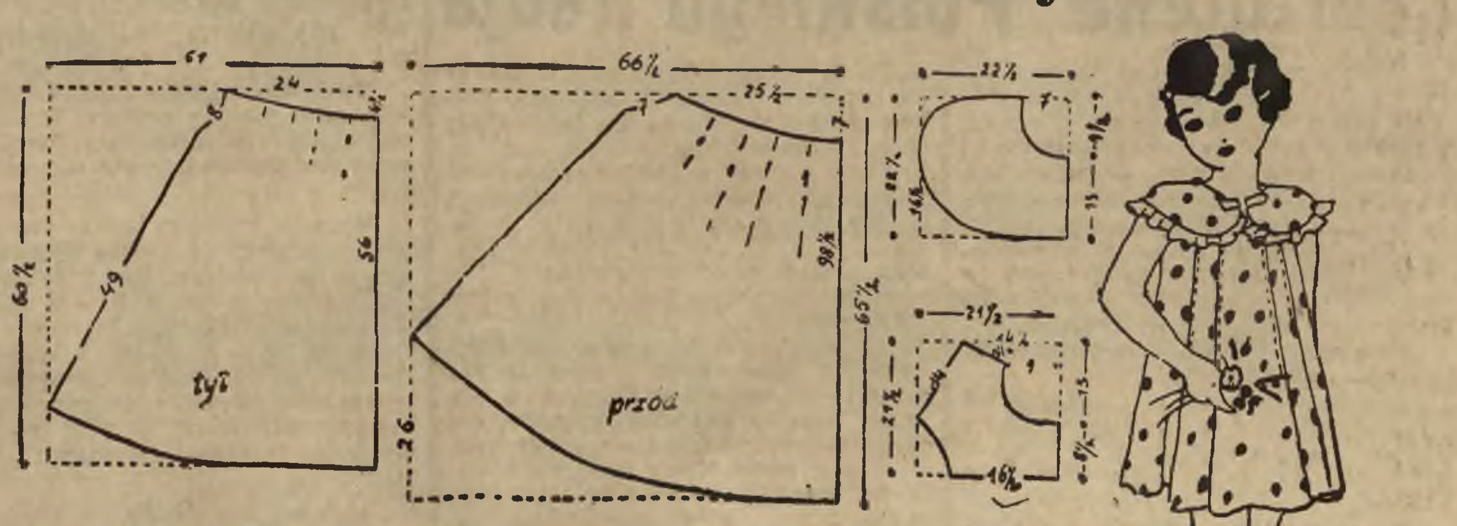
Nie wyklucza to oczywiście zawsze jednako modnej i odpowiedniej spódniczki, zwałszcza o ile idzie o panie nieco tęższe.

Moda pozwala też na pewną rozmaitość barw, przyczem jednak konieczne jest właściwe umiarkowanie i poczucie smaku. Kolory delikatne, pastelowe; najodpowiedniejszą jest kombinacja kolorowej koszuli z białą spodniczką lub shortami.

Z materjałów: płótno, bawełna, jedwab, shantung, — zależnie od osobistego upodobania i możliwości finansowych.

W przerwach, — na chłodniejsze dni — konieczny jest wełniany szalik lub sweater w żywych kolorach.

Letnia sukienka dla dziewczynki



Potrzeba na nią 2 mtr. materjału szerokości 1 mtr. lub 3.10 mtr. szerokości 0.80 mtr. Najodpowiedniejszym materjałem bedzie lekkie płócienko. — ewentualnie crepe de chine, o ile idzie o sukienkę strojniejszą.

Spodniczka odpowiednio szcroka, krajana skośnie.

Podany przez nas krój obliczony jest na dziewczynkę 8—10 letnią

Echa „Święta Morza"

Głośnem i serdecznem echem odbiło się „Święto Morza" w głośnikach i słuchawkach. Ta serdeczność zaznaczająca się w programach *Polskiego Radja* w stosunku do zagadnienia tak postawionego jakiem jest w naszej państwowości *posiadanie własnego morza* — zasługuje w całej mierze na uznanie. Leży to bowiem w naturze naszego narodu, że *wielkich dzieł* dokonywujemy — nigdy na zimno — lecz zawsze w *gorącym afekcie*. A sprawy morskie jak i zagadnienie wojska, należą obecnie w Polsce do rzeczy gorących, w których między prawdziwymi *Polakami* niema żadnej różnicy zdań.

Nie mam zamiaru wyliczać wszystkich pozycyj programowych, które to z okazji *„Święta Morza"* słyszeliśmy — byłoby zbyt długie i nużące. Wspomnę więc tylko o niektórych. Ciekawą naprzykład była *transmisja z Gdyni*. Dzięki niej tysięczne rzesze przypatrujące się defiladzie na polskiem wybrzeżu, zwiększyły się wielokrotnie, tymi co jeno uchem i sercem tam byli.

Skromną naszą tradycję morską, staramy się dziś odrobić wielkiemi a pozytywnemi wysiłkami. Praca w tej dziedzinie wieloma idzie drogami. Od stworzenia portu, budowy floty handlowej i wojennej do uświadamiania całego społeczeństwa, że niezbędną jest jego obecność jako całość w tej pracy, oraz związanych z nią troskach i trudzie. A istnieje cała skala możliwości różnego rodzaju potrzebnej pracy. Od wysiłków i ofiar materjalnych do artystycznych tworzyw z dziedziny marynistycznej. I wielu dziś ludzi w Polsce nad tem pracuje. Jednym z takich pionierów naszego morza to *Bohdan Pawłowicz*. On to ostatnio z kontrtorpedowca *„Burza"* piękną przeprowadził transmisję, ilustrującą w doskonale zestawionych fragmentach, życie naszych „modrych żołnierzy" na falach *Bałtyku*. Nagrana na stalowej taśmie „Still", audycja wypadła bardzo dobrze i ciekawie.

A, że nasze zainteresowanie morzem jako tłem literackiem mimo swej dotych czasowej skromności, nie jest ostatniej doby, świadczy o tem odnaleziony (a raczej rewindykowany z Rosji) jedyny znany egzemplarz poematu rymowanego (500 wierszy) *Marcina Borzymowskiego* p. t. *„Morska nawigacja do Lubeka"* — wydanego *A. D. 1662*. Jest to pięknie napisana historja podróży jaką pan z Borzymowa wśród wielu przygód odbył w *roku 1651* z *Gdańska* morzem *do Lubeki*. O tem to wygłosił szkic literacki profesor Uniwersytetu Poznańskiego *Dr. Roman Pollak*.

Zbyt mało społeczeństwo nasze wie, że na odzyskanie naszego dostępu do morza, złożył się również w wielkiej mierze wysiłek i uświadomienie Kaszubów, prastarych mieszkańców polskich brzegów bałtyckich. O jednym z nich — czołowej postaci walczącego o polskość Pomorza —*Antonim Abrahamie* ,bohaterze kaszubskim ,wygłosiła w serdecznych słowach pogadankę *Marja Zarebecka*. Nie z wzruszenia słyszeliśmy jak ten człowiek, prosty pochodzeniem a wielki duchem, pracował dla Ojczyzny. W wdzięcznej pamięci, imię Jego, winne zachować przyszłe pokolenia. A życie Jego jest również jasnym dowodem, że na gmach, któremu na imię *Rzeczpospolita*, składają się nietylko wielkie filary i bloki, lecz także drobne cegły i okruchy. Czem ich więcej i czem są lepsze, tem *silniejsza państwowość nasza*.

Warszawska scena *Teatru Wyobraźni* z okazji *„Święta Morza"* wystawiła słuchowisko dla dzieci starszych i młodzieży p. t. *„Gdynia"* pióra *Janusza Stępowskiego*. Słuchowisko to historyczne nie pozbawione aktualnych tendencyj politycznych, ilustrowało przejście *„Gdiny"* przez *„Gdingen"* do *„Gdyni"*; czyli dawną Polskę, czasy niewoli i odrodzoną Ojczyznę *nad brzegiem Bałtyku*. Myśl dobra. W słuchowisku jednak dało się zauważyć niezupełne wykończenie artystyczne lub może niezbyt staranne skrócenie całości. Takich choćby najdrobniejszych uchybień w radjowym Teatrze Wyobraźni należy unikać bezwarunkowo.

„Co jemu się stało" oto tytuł przemówienia *Józefa Wittlina* z okazji trzydziestolecia pracy teatralnej wielkiego artysty dramatycznego *Stefana Jaracza*. Karjera artystyczna *wielkiego tragika polskiego* szkicowo została nakreślona. I mniejsza z tem, że nie wspomniano o filmowej pracy Stefana Jaracza, lecz uważam, za zasadniczy brak pominięcie jego twórczości w *Teatrze Wyobraźni*. Jego wspaniała gra *„Hamleta"* czy choćby *„Rekina"* zdumiewała radjosłuchaczy; nie mówiąc już o genjalnej wprost kreacji *Sokratesa* w *„Trylogji" Platona*. O tem wszystkiem należało nawet szerzej powiedzieć przed mikrofonem *Polskiego Radja*.

Jeszcze o jednej audycji słów parę. Reportaż *Dr. Henryka Breita* i *inż. Janusza Witwickiego* z cyklu: *„Z mikrofonem po starym Lwowie"* zawierał ciekawe wiadomości nietylko z postępu prac Inż. Witwickiego nad *modelem miasta* Lwowa z połowy 18 wieku lecz również szereg cennych uwag o dawnej architekturze Lwiego Grodu, który był węzłem krzyżujących się kultur wschodu i zachodu Europy. Ciekawy ten reportaż, pięknie wygłoszony winien przyczynić się do większego zainteresowania się Lwowian sprawą postępu i warunków budowy modelu dawnego Lwowa. Miasto ,tak dumne ze swej przeszłości winno tego rodzaju przedsięwzięcie popierać *jaknajgoręcej*.

r. R.

Nowy sukces lwowskiej rozgłośni P.R.

We wtorek, 2 b. m., z rozgłośni lwowskiej popłynęła na falach eteru komedja muzyczna „Główna wygrana" pióra i z muzyką Wiktora Hausmana, profesora Konserwatorjum P. T. M. we Lwowie. — Wszechstronnie i niezwykle uzdolnionego kompozytora tego radjosłuchacze mieli możność niejednokrotnie podziwiać w jego słuchowiskach, przeplatanych ilustracją muzyczną. W jednych wykazuje tendencje wyniesienia pierwiastków ludowych na ołtarze sztuki („Pan Boruta", „Luptowski Skarb", „Pan z Krzemionek", góralskie słuchowiska etc.), w innych wspomina górne i chmurne chwile z przeszłości narodu („Powstanie listopadowe w pieśni"). W „Głównej wygranej" natomiast zwraca się do formy operetkowej, tworząc bez użycia modnych i oszałamiających saksofonów muzykę wesołą i porywającą. Prof. Hausman napisał swą komedję muzyczną wyłącznie dla radja, stwarzając w niej nowy styl muzyczny, odpowiadający wymogom radjofonji, w przeciwieństwie do radjofonizowanych operetek, nadawanych z Warszawy.

Co dotyczy tekstu, cechował go żywy dowcip w stylu francuskim i pełen werwy humor. Tak często dziś spotykanych, niesmacznych dwuznaczników i trywialności nie było tu wcale. Również dowcipne teksty piosenek układu p. Gillowej dodawały całości lekkości i uroku.

Przechodząc do oceny sił wykonawczych, należałoby podkreślić, że na plan pierwszy wybiła się p. Walerja Jędrzejewska, dając dowód niepowszedniego talentu wokalnego. W p. Tadeuszu Jastowskim usłyszeliśmy artystę, który umie uwartościowić liryzm swego pięknie brzmiącego głosu. P. Wieszczek ze swadą i komizmem odtworzył rolę portjera, p. Wajda grał ze szczerem przejęciem się przedziwne koleje skrzypka.

W innych rolach występowały pp. Majewska, Dalkówna, Zielińska, Lisiewicz i Bronikowska, oraz pp. Monderer, Fleischer, Vogelfänger, Korabiowski, wywiązując się bez zarzutu ze swych zadań. — Korzystnie wypadło solo skrzypcowe. Kierownictwo muzyczne spoczywało w niezawodnych rękach kompozytora, a reżyserję „Głównej wygranej" objął mgr. Budzyński.

Całość stała na tak wysokim poziomie, że słuchacz po znojnym dniu pracy, a częstokroć smutków i zawodów, mógł istotnie wypocząć i szczerze się rozweselić. Był to przemiły i bardzo artystyczny żart, iskrzący się talentem, humorem i temperamentem, zasługujący słusznie, aby go powtórzyć!

JANINA STRZEMBOSZÓWNA



Zespół Wykonawców radjowej komedji muzycznej Wiktora Hausmana „Główna Wygrana" ,nadanej z Rozgłośni Lwowskiej dnia 2 lipca 1935 r. Na pierwszym planie od lewej ku prawej: orkiestra, pianista Fischler, artyści i artystki: Wilczewski, Wajda, Jędrzejewska, Bronikowska, Jasłowski, Zielińska, Dalkówna, prof. W. Hausman (autor) i Włada Majewska. W drugim planie: Teodozja Lisiewicz, J. Wieszczek, Adolf Fleischer, Miecz. Monderer, A. Kowalski i Mgr. Wiktor Budzyski (reżyser.)

„Żartoteka" Polskiego Radja

Pisma humorystyczne w Polsce odrodzonej jakoś nie mają szczęścia. Takie, zasługujące naprawdę na tę nazwę, można policzyć na palcach jednej ręki.

A i to każde z nich, — po krótkim stosunkowo okresie świetności — upadało wreszcie, ginąc śmiercią... z wyczerpania. I nic dziwnego: tych paru wesołków, co postanowili sobie co tydzień, czy co dwa tygodnie puszczać w świat świeże bomby śmiechu, wesołości i humoru, musi sobie prędzej czy później powiedzieć: „passe, — nie da rady!"

Zabraknie inwencji — i zaczyna się „przerabiać" dowcipy i kawały, wycinane z pism zagranicznych, lub ze starych roczników. A czytelnik, który spotyka się w piśmie ze swymi „starymi" znajomymi", wkrótce rezygnuje z czytania, a tembardziej i z kupowania takiego pisma.

Zostaje mu „kącik humoru" w gazetach codziennych, — czyli nieskończone błędne koło dowcipów, które powtarzają się systematycznie co parę miesięcy, wędrując z pism francuskich czy niemieckich do Polski. A tutaj Warszawa przerzuca je do Poznania, Poznań do Krakowa, Kraków do Lwowa, Lwów do Lublina czy Wilna. I tak w kółko...

Czasem urodzi się na bruku warszawskim jakiś aktualny dowcip polityczny, czasem padnie ofiarą dowcipu P. A. L., czy T. K. K. T., czy inna podobna instytucja, czasem wreszcie usłyszymy w sztuce polskiego pisarza jakiś dobry, oryginalny dowcip.

Ale autorami tych dowcipów i żartów są niejako „zawodowcy", szczupłe bardzo grono ludzi „wyspecjalizowanych" w tym fachu. Mało ich jest bo też zrobienie dobrego dowcipu, żartu czy powiedzonka, to sztuka, nie każdemu dostępna.

Nie wynika jednak z tego, jakobyśmy nie mieli dobrych, urodzonych humorystów i „kawalarzy". Owszem, są, tylko o ich istnieniu wie zaledwie niewielka garstka ich najbliższych znajomych i przyjaciół.

Nie mają sposobności do popisania się przed szerszem forum, a może im na tem nawet specjalnie nie zależy. Wystarczy im serdeczny śmiech znajomych, zebranych przy szklance piwa lub małej czarnej.

Tych wszystkich wesołków postanowiło sobie obecnie wyłowić Polskie Radjo, organizując nieustający konkurs humoru pod hasłem "Dobry żart — radja wart".

Warunki konkursu bardzo proste: ani wiek, ani płeć, ani census naukowy nie stoi na przeszkodzie. Kto tylko umie pisać, może wysłać do P. R. w Warszawie, Mazowiecka 5 (wydział literacki) oryginalne, własne — oczywiście cenzuralne — dowcipy, żarty, kalambury, powiedzonka, czy krótkie aforyzmy lub wierszyki humorystyczne, które, w razie przyjęcia, wejdą do tworzącej się właśnie „Żartoteki".

A za przyjęty dowcip otrzyma ponadto 3 złote czyli ekwiwalent miesięcznego abonamentu radjowego!

Pomysł to doskonały! Jestem przekonany, że poczta przynosić będzie co dnia setki listów. Że konkurs ten pobudzi gwałtownie twórczość naszych licznych grafomanów i grafomanek, czyhających na okazję „wypowiedzenia się"... Ale też napewno przyczyni się on do odkrycia wielu nieznanych dotąd zupełnie talentów.

I jeżeli z napływających dowcipów i powiedzonek choć jeden procent zostanie zakwalifikowany przez Polskie Radjo do przyjęcia, cel konkursu będzie osiągnięty.

Dobrzeby jednak było pomyśleć zawczasu o zbieraniu tych dowcipów i wydaniu ich kiedyś w osobnej książeczce. Bo „verba volant, scripta manent", a tego rodzaju antologja humoru miałaby dużą wartość dla zobrazowania zainteresowań mentalności i nastrojów dzisiejszej Polski.

Jeśli bowiem przysłowia są mądrością narodów, to humor i dowcip jest ich szczyptą soli atyckiej, dającą właściwy smaczek, choćby on był nieraz ostry i piekący.

Niechajże tedy rośnie i pęcznieje owa osobliwa „Żartoteka", — ku rozweseleniu radjosłuchaczy, a ku radości jej twórców i współpracowników!

(Lucy)